

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Lucyna Legut**

**NASZA ZMIERZCHOWA  
MAMA**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Matce

## W pomarańczowym domu

Podwójny zmierzch. Ten za oknem i ten w naszym życiu. Siedzimy w trójkę: nasza zmierzchowa mama i my dwie zmierzchowe siostry. Jeszcze żyjemy, ale już w tym spokoju przed umieraniem. Wszystko, co nas dotyczy, jest już wspomnieniem, ale wszystko kiedyś się dopiero zaczynało. Życie naszej zmierzchowej matki miało także kiedyś zapach pierwszej zielonej trawy. I było inne. Niepojęcie inne od naszej młodości, która znowu byłaby niepojęcie inna od młodości naszych dzieci, gdybyśmy je miały. Czy warto cofnąć się w tamten czas, żeby dowiedzieć się, jak to wszystko wyglądało?...

Teraz, o zmierzchowej godzinie, siedzimy w domu, który swoimi kolorami przypomina pomarańczowy ogród: zielono od kwiatów wypełniających mieszkanie i pomarańczowo od firan, zasłon, dywanów i serwet pokrywających stół i stoliki. Nawet pachną pomarańcze w wielkiej szklanej misie na stole. Biorąc życie za łeb ze wszystkich stron, dobrnęliśmy do tego, co można by teraz nazwać wygodnym, dostatnim życiem w pomarańczowym domu, ale początek tego życia był inny, miał różne kolory i nie miał zapachu pomarańcz.

Nasza matka jest drobna i teraz już raczej mała. Ma astmę i chroniczny bronchit. Bola ją nogi i męczy się przy najmniejszym wysiłku, ale krząta się cały dzień po domu, bo szkoda jej czasu na wypoczynek, mówi, że potem będzie już ZAWSZE wypoczywać i dlatego teraz kradnie życiu każdą chwilę. Matka źle widzi. Jedno oko jest już tylko dekoracją, widzi nim jakieś zamglone kontury, więc żeby się nie przemęczało, przy oglądaniu telewizji kładzie pod okulary właśnie na to „złe” oko kulkę waty. Jeżeli ktoś obcy pojawi się w domu, wata znika; z watą pod szkłem okularów wygląda się śmiesznie. Wprawdzie nasza matka lubi bawić sobą, kiedy ma na to ochotę, co innego jednak zabawiać kogoś sobą, a co innego być śmieszna z powodu mankamentu. Wata sterczy pod okularami nierówno zwinięta, czasem jej strzępek zwisa aż na policzek. Matka oszczędza watę, nie ma zamiaru co chwila jej zmieniać, skoro stara może jeszcze dłużej służyć. Matka w ogóle lubi oszczędzać wszystko. Żaden papier nie zostaje wyrzucony, żadna torebka, żaden kawałek sznurka – wszystko kiedyś może się przydać. Stare sznurki zostają dokładnie rozplątane; co jakiś czas, kiedy naskłada się trochę tych sznurków, matka zasiada do tego zajęcia. Po rozplątaniu zwija się je w małe i całkiem małe kłębki i chowa do specjalnej torebki, też zużytej, ale jeszcze użytecznej. I tym sposobem cały dom jest wypełniony przedmiotami, które na pewno kiedyś się na coś przydadzą.

Nasza zmierzchowa mama bez przerwy ma baczne oko na wszystko, co dotyczy naszego ciała i ducha. Jak dzień długi słyszymy szmer lekko zdyszanych słów:

– Może byście coś zjadły, dzieci? Usmażę wam sznycelki albo może raz-dwa skoczę i utnę ziemniaków na placki...

– Lidusiu, kiedy wstajesz w nocy do łazienki, to zarzuć szlafroczek, bo się można przeziębić. W łóżku człowiek zawsze trochę się spoci.

– Co? Ty wychodzisz? I nie wkładasz szalika??! Bój się Boga! Nie wypuszczę cię z domu z gołą szyją!

– A ty się trochę wymaluj, zanim wyjdiesz z domu. Błado wyglądasz. I po co tak przylizywać włosy? Jakbyś trochę napuszyła nad czołem, to by było ładnie.

Zainteresowania naszej matki dotyczą również tego, co się dzieje za oknem. Tkwi w nim godzinami i jak bardzo troskliwy i wymagający kierownik robót sprawdza, co i jak zostało zrobione, lecz prawie nigdy nie jest zadowolona:

– Oni już dawno powinni postawić ten budynek! Narobili tylko rumowiska i nic się robota nie posuwa. Cały dzień ten dźwig się kiwa, ale wcale budynku nie przybywa. Dzisiaj rano było tam sześciu chłopów, a teraz tylko jeden się kręci. Dużo on tam sam narobi!...

Kiedy robotnicy schodzą z placu budowy, matka może opuścić stanowisko przy oknie. W ciągu dnia ma urwanie głowy, bo co chwila musi odbiegać od garnków i zaglądać w okno, co oni tam robią. Wreszcie o godzinie szesnastej może spokojnie chwilę odpocząć, potem zabiera się do haftowania, a jeżeli w telewizji jest coś godnego uwagi, zasiada na tapczanie oparta o kilka poduszek, z nogami na malutkim krzeselku i patrzy. Oglądanie telewizji jest cały czas przerywane komentarzami, które przeważnie dotyczą wyglądu osób pojawiających się na ekranie:

– O świnią! Ale ma głowę, jak jajo! Łysą! Jakem stara, to bym go za żadne skarby nie chciała! Trzeba nie mieć wstydu, żeby się z takim jajem pchać do wystawy w telewizji! A ta??! Co to zrobiła ze sobą! Jak ona się paskudnie uczesała! Po co jej ten ząb z włosików nad czołem? Powinna to wszystko zaczesać do tyłu!

Nie pomogą nasze błagania, aby matka siedziała cicho, ponieważ niewiele słyszymy z tego, co tam ktoś mówi.

– Nic nie mówią. Same głupoty! Nie ma czego słuchać – odpowiada matka, która nie lubi, kiedy jej się zwraca uwagę. Ona wszystko wie najlepiej. Kiedy już się napatrzy, nazłości i nawybrzydza, próbuje od nas dowiedzieć się czegoś na temat akcji oglądanego programu. Wówczas odpowiadamy:

– Gdybyś słuchała, zamiast mówić bez przerwy, wiedziałabyś, o co chodzi. – Darujemy jednak matce jej słabość w dogadywaniu i po chwili informujemy ją o wszystkim. Bardzo ją dziwi, skąd my to wiemy, bo ona nic nie rozumiała...

Nasza matka ma tysiąc przywar jak każdy człowiek. A może raczej tysiąc inności. Jest ogromnie uczulona na punkcie swojego wyglądu. Zwłaszcza sprawa włosów nigdy nie daje jej spokoju. Te włosy są problemem, który bardzo trudno rozwiązać, jako że mama, mówiąc z przesadą, ma sześć włosów na głowie i stale z nimi walczy, aby stworzyć z nich uroczą, puszystą fryzurę. Rano godzinę siedzi w łazience przed lustrem, moczy grzebień w wodzie, przyciska palcami te włosy, naciąga tam, gdzie jest ich zbyt mało, robi karbki, loczki i nigdy nie jest całkowicie zadowolona. Po takiej wojnie z włosami zasiada umęczona na tapczanie i snuje smutne refleksje:

– Dlaczego to jedni mogą mieć piękne, puszyste włosy, a drudzy nie? Co by tu zrobić, żeby włosy narosły? Może jest jakieś lekarstwo? Trzeba by się dowiedzieć. Przecież to niemożliwe, żeby ludzie, którzy wynaleźli rakiety na księżyc, telefon i telewizor nie mogli wynaleźć lekarstwa na gęste włosy!... Z taką głową, jak moja, nie jestem w stanie żyć. Już lepiej się powiesić.

Stroje naszej matki to też osobna sprawa; każda suknia musi mieć stójkę, bo matka nie lubi, aby jej było widać szyję. Często kombinuje, co by zrobić, żeby „szyję przerobić”? Chciałyby mieć młodą, gładką, ale broń Boże nie długą! Długa szyja według zdania naszej matki jest paskudna. Z taką szyją człowiek wygląda jak czapla. Czaple się matce podobają, ale kiedy są czaplami. Człowiek z szyją jak czapla nie podoba się jej.

Matka lubi być uwielbiana przez naszych przyjaciół, chociaż za każdym dowodem uwielbienia zadaje nam te same pytania:

– Co w tym jest, że oni wszyscy tak się do mnie przymilają? Dlaczego zawsze ktoś przynosi mi kwiaty i słodycze? To naprawdę aż nieprzyjemne, bo ja nie mam się czym rewanżować...

A najbardziej nasza matka lubi mówić o dawnych czasach. My możemy tego słuchać bez przerwy. Matka zawsze trochę się certuje:

– Sto razy już wam o tym opowiadałam. Nic w tym ciekawego nie ma. I nawet nic wesołego. Gdyby mi teraz Pan Bóg powiedział: „Julio, jak chcesz, to możesz teraz mieć z powrotem

dwadzieścia lat, ale musisz jeszcze raz przeżyć to wszystko, co przeżyłaś”, to ja bym odpowiedziała, że bardzo dziękuję i wolę już nie mieć tych dwudziestu lat, ale nie chcę znowu tamtych rzeczy przeżywać.

My jednak chcemy, żeby nasza matka jeszcze raz przeżyła wszystko i chcemy przeżywać to razem z nią, dlatego siadamy o zmierzchu i słuchamy opowieści naszej zmierzchowej mamy.

Chaotycznie płyną słowa, płaczą się czasy, jak w kalejdoskopie zmieniają układ płaszczyzny. Z tego chaosu wyłania się powoli całe życie naszej mamy, czyli pięknej Juleczki...

### **Dom z różami za oknem, zupa wodzianka, a do studni chodziło się w zimie boso**

Nasz dom był taki: byle jaki, wiejski. Gospodarka prawie żadna, bo mama tylko coś tam w polu zrobiła, a ojciec prawie nic. Stolarzył, ale też nie bardzo, tyle tylko żeby instrumenty zrobić do grania, no i chodził grywać z tą swoją kapelą. Najwięcej po weselach grywali. Jak zaszedł na wesele, jak zaczął grać, to wszystkie baby prosiły, żeby nie grał; wzięły mu skrzypce z ręki... Bo strasznie umiał wice opowiadać. Chciały, żeby mówił im wice o koniu:

– Panie Wincenty! Opowiadajcie o koniu! Jakiegoście to konia mieli??!

– Koń był taki: gruby był, jakby dwa prześcieradła do siebie złożył, a taki był żyrny! To mu ino dawałem tłuczone szkło, bo bardzo lubił to jeść.

– A czymżeście go przykrywali w zimie?

– O, takimi zygzatymi patykami, ostrwiami, co sie siano na to kopi.

– A gdzie sypiał? Mieliście jaką szopę?

– Nie. Pod mostem spał. A jak była wielka woda, to go przylało, przymuliło, a w zimie lodem nakryło.

– A szybki był ten wasz koń?

– Bardzo szybki. Jak go wypchałem do góry na brzeg i jak go popchnąłem, to zjechał na dół prędko, na zadzie, aż do wody wpadł. To był taki koń!

Strasznie się baby cieszyły z tego opowiadania. A kumoski, jak flaczki roznosiły na imieniny u mojej mamy, bo zawsze imieniny sprawiała, to kumoski flaczki roznosiły na talerzach każdemu, więc jak się zaczęły śmiać, to jedna drugiej do podółka wysypała flaczki, ze śmiechu. Tak wariowały. A wujek Bąbel tylko jedno i to samo zawsze śpiewał i grał; młynek wziął do kawy i tak kręcił i śpiewał: „Ja swej żony nie sprzedam, ani za tysiące! Jak się na nią popatrzę, to mnie boli serce!” Każde imieniny to samo. Nie umiał nic innego, bo był takim aktorem bądź jakim.

A jak ojciec chodził z muzyką na wesela, to na końcu po weselu gospodyni dawała zawsze muzykantom po ćwiartce placka. Tam się piekło na łopacie takie placki okrągłe. Pokroiła na ćwiartki i dała muzykantom po parę kawałków. No to tam ojciec przecież nie brał na to specjalnego pakunka, tylko wyjął z kieszeni brudne chustki od nosa, nakładł placków, związał i przyniósł do domu, a my tylko oknem patrzyli, jak pójdzie z wesela rano... Czasem dwa dni go nie było, jak wesele dłużej trwało... To placki niesie! W chusteczce od nosa. Nikt się nie umiał brzydzić wtedy, tylkośmy chętnie asystowali, żeby tych placków dostać po kawałeczku.

Ja kiedy podrosłam, to chodziłam na wesela z ojcem. I bardzom hulała. Bardzo!

Jak już ojciec nie chodził po weselach, bo był starszy i strasznie go nogi bolały, co już niedługo z tego umarł, to mama szła z nim do brata swojego, do Staszka, a już była słaba... Dom na górcie sprzedali i poszli mieszkać za kościół, żeby mieli bliżej do niego. Chaupę sprzedali, pieniądze rozpożyczyli ludziom, które wszystkie im przepadły. No to stamtąd, zza kościoła

idą do Staszka... To się szło przez ławę, przez taki mostek. Ojciec na przedzie szedł, jak to chłop, a mama biedna za nim, aż jej się zawróciło w głowie i spadła do tej rzeki. Ale na kraju. Wtedy była malutka woda, tak jakoś... Ojciec przyszedł do Staszka, Staszek mówi: – A gdzie mama? – A on – nie oglądałem się, gdzie ta szła. Szła za mną, ale się nie oglądał. No nie wiem, gdzie jest. Podziała się.

Nie było daleko, to się wrócił. Patrzy, a mama pod ławą. Głowę miała na kamieniach. Przeprowadzili ją i chcieli ją oddać do szpitala. Tak mi jej żal, dzisiaj jeszcze... No ale gdzie by ta dała grosza na szpital... No to tak było. A ona po tym wszystkim miała zanik pamięci. I jak już ojciec leżał umarły, to go wciąż ruszała: – Tatus! A chodźże do siostry ze mną! Chodźże tatus! – Zrobiła mu śniadanie... Tego to nie lubię wspominać, bo miała taki ciężki żywot do końca... Zrobiła mu śniadanie i gwałtem go budziła w trumnie: – Tatus! Śniadanie stygnie! Wstańże tatus!

A w Prokocimiu jak była z nami, to już nam chciała nieraz ucieknąć, trzeba ją było przywiązać za sznurek w ogródku i dzieci ją pilnowały. A jakoś się nam raz rozwiązała i uciekła, cośmy ją znaleźli w Bierzanowie, w altanie.

Jak byliśmy mali, to mama najczęściej gotowała na obiad wodziankę. Ojciec ususzył sliwkę, ususzył jabłkę i taką wodę mama gotowała do ziemniaków, do jałowych oczywiście. Jak ugotowała garnek tych suszek, to pierwsza woda była gęściejsza, taka esencjonalna, to dla ojca garnuszki, a dla nas dołala wody, rozpuściła i nam dała tego wodnistego. A na drugi dzień wymokło lepiej, to jemu pierwsze, a nam już nie rozpuszczała, tylko dała tego ze spodu, a na trzeci dzień dopiero owoce dała, bo jeszcze pomokły trochę. Mięsa jak tam kupiła odróbkę, na dwanaście ludzi, to kawałeczek ugotowała ojcu: – Tatus! Zjedźże to mięso! Zjedźże! – No to ogryzał mięso i kostki rzucał. My tylko patrzyli, asystowali. To się kostkę wzięło, obliżywało. Dzieliłiśmy się tymi kostkami z mięsem. Było nas bardzo dużo.

Chaupina nasza była dosyć piękna. Z kamieni była wystawiona. Dosyć zgrabna: pokój, kuchnia, stolarnia, sieni. Stajnia w sieni, wychodek na ganku. Zamykało się taką zawiasą, takim drewnem się zamykało. A róże przed oknami!... Całe okno było zawalone różą.

Jak miałam cztery lata, rodziło się któreś tam dziecko, bo nas było ośmioro: czterech synów, cztery córki miała moja mama; taka była plenia. I jak jedno dziecko przychodziło na świat, nie wiem które, to tam był hałas w izbie, a ja się darłam razem z mamą, bo nie wiedziałam, co jej kto robi, pewnie krzywdę jaką, więc ja się w kuchni okropnie drę, jeszcze głośniej niż mama w izbie. Wtedy ojciec zamknął izbę i mnie porwał, bom się nie ustawała drzeć, porwał mnie do stajni, do chlewka, ku świni mnie zamknął. Darłam się tak, com ochrypla, a świnią mnie szarpała po sukni, ale była jeszcze za młoda, więc mnie nie zdążyła zjeść, bo nie dała rady. Ale była złośliwa. No to mnie potem Ządkowa porwała stamtąd od tej świni. To ja się modliłam, jakem umiała, całe życie, żeby ojciec umarł. Jeszczem do szkoły chodziła, to się modliła, żeby umarł za tę świnię, bo mu nie mogłam podarować tego.

Jak chodziłam do szkoły, to się przeziębila. A ta gula taka na nodze wyrosła... Teraz pani doktor mi się spytała, jak byłam w szpitalu... Bo w koszulce krótkiej leżałam... Ona widzi taką szramę i pyta: – Co to pani ma? – Ja mówię: – To nie było szyte, tylko przecięte brzytwą, bo mnie tu taka gula urosła, jak jajo, bom się przeziębila, jak do szkoły chodziłam, i ojciec wziął brzytwę i przeciął mi to. Mama przyniosła z ogródka liście takie, babka się nazywała, położyła mi na tym, to się zagoiło. I jest jak szew. Taki szram długi.

Potem w sieni stał taki garnek wielki, żelazny, no to leciałam po ciemku, uderzyłam w ten garnek nogą i mam też szramę. Krew się lała, lała... Całą zimę się nie goiło, bo nie było czym zawinać, tylko pończochę czarną ubierało się na to. Dało się kawałek papieru i pończochę. Przyszłam ze szkoły, to oderwała, bo się pończocha przylepiła. Zagoiło się samo na wiosnę i już jest dobre do dziś dnia.

Do studni chodziło się w zimie boso, bo któż by ta jakie papucie dał albo buty? Do szkoły się chodziło boso w lecie, a buty się ubierało przed szkołą. Jeszcze mi się wciąż śni, że boso



chodzę po polu, com tak była nauczona. A jak do kościoła leciałam, to butki na ramionach, za sznurówki; przed kościołem się butki ubierało. No to do studni boso. Nogi przymarzały, to się trza było prędko śpieszyć. Ciągło się wodę ze studni, trzeba było klęknąć na lodzie i patrzeć, żeby się nie wpaść tam. Z takiego dołka się brało wodę. Przyleciało się do domu i trzeba było nogi pocierać, bo tak stwardły z zimna. A teraz to bym mogła trzy pary nowych butów na nogi ubrać, jakbym szła do studni. I dwa kapelusze bym mogła na głowę dać! A wtedy nie miałam nawet chusteczki.

W zimie do szkoły jechało się na torbie. Szło się do takiego drzewa i stamtąd z góry na dół się zjeżdżało, to było bardzo spadzisto, więc się zejść nie dało, tylko zjechać na torbie.

Jak miałam dwanaście lat, to już chodziłam do Makowa, do haftu. Skończyłam piątą klasę, to mnie wypisali, bo nie było czasu. Bo trzeba było zarabiać. Wtedy wolno było wypisać z piątej klasy.

Do Makowa, do haftu szło się na dziewiątą, więc trzeba było o siódmej wyjść, wziąć czarnej kawy do flaszki, oczywiście zbożowej, dziesięć centów do ręki na dwie bułki. To było na cały dzień. Czasem która dziewczynka wzięła mnie na noc do siebie, jak był deszcz czy zawierucha, no tam tam coś zjadła. Z litości mnie brały. A jak spałam czasem u siostry, to nie mieli mnie gdzie położyć i spałam w paczce, co węgle były. A paczka była duża, to ja się zmieściłam, bo byłam mała. I spałam w tym, w czym chodziłam. Dałam sobie płaszczyk pod głowę i węgle były wyżej. To zaś nauczycielka, jak jej podłogę wymyłam, z wielką radością, że to u nauczycielki myję, co nas uczy haftu, no to tam kromkę chleba dała. Z masłem!

Ksiądz mnie bardzo lubił, bom dobrze się uczyła. To ksiądz siedział na krześle, taki rozpanoszony... Ksiądz taki grubas był. Religia jest, to kto mu się podobał, temu kiwnął palcem... Dwie my takie były: ja i jeszcze jedna. To wyjął z kieszeni gruszkę, jabłko, pomarańcza i dał. Bo byłam taka dziewczynka skromna i popaniata. A tam były straszne wsioki: z Grzechyni, z Makowa to były wsioki, a ja byłam ze Suchej, z miasta prawie. Bosa, ale taka... Nie cham.

Siedem kilometrów codziennie szło się. Do Makowa to się idzie ze Suchej na pagórek, na dół, na pagórek, na dół... Dwa pagórki do Makowa są. Jak wyszłam pod pagórek, to się umęczyłam... Chłop, nazywał się „drożnik”, jeździł z takimi taczkami; zbierał kamienie przy drodze na te taczki i gdzieś je wywoził. To on widzi, mała dziewczynka idzie... Byłam mała, bom i teraz nieduża... To mu było mnie żal, bo mnie chłopaki co krowy pasły biły kamieniami i ścigały. To mnie wziął na te taczki czasem: – Siadnijze, dziwce. Podwieze cie kawołek. – Podwiózł mnie czasem na tych kamieniach. Więc znowu się oglądałam, czy jaki wóz nie jedzie... Jedzie wóz z chłopem... Jak był chłop dobry, to mnie wziął pod pagórek, a jak był niedobry, to mnie nie wziął, Ale jak wjeżdżał na pagórek pomału, to ja się zawiesiłam na dyszlu. A chłop czuje, że mu ciężko, oglądnał się: – Slezies z tego wozu z tela??? – I tak mnie biczem chciał dochodzić, ale ja się schyliłam i tym biczem nie dał rady mnie dosięgnąć. A czasem mu się udało, to mnie po grzbiecie wyłożył. Miał prawo.

## **Daruję wam winy w zamian za plotki**

Nasza matka przepada za wszystkimi wiadomościami, które mają w sobie wielki ładunek sensacji: trzęsienia ziemi, katastrofy kolejowe czy lotnicze, powódzie, susze, uprowadzenia samolotu, porywania dzieci milionerów, bestialskie mordy, pożary w drapaczach chmur, epidemie, które nagle wybuchły i zgładziły tysiące ludzi, turysta rozszarpany przez tygrysa na

oczach żony i dziecka, afery pieniężne, napady na banki, skandale wielkich aktorek, zamach na królową Anglii... Wszystko to nie ujdzie ucha naszej matki i jest dokładnie i na długo zapamiętane, chociaż niby z pamięcią nie jest u niej najlepiej. Można jej na przykład sto razy powtarzać: wychodzę z domu i wrócę dopiero późnym wieczorem, pamiętaj, żebyś się potem nie niepokoiła! Oczywiście niepokoi się. Biega po mieszkaniu od okna do drzwi. W oknie wypatruje (tym jednym swoim okiem), czy nie ujrzy dobrze znanej sylwetki. Do drzwi przykładła ucho, bo może już jedzie winda (w jej słowniku nazywa się to „autobus powietrzny”), może zatrzyma się na naszym pięttrze i nareszcie pojawi się siostra lub ja, w każdym razie ta, która powinna już dawno być w domu. Kiedy wreszcie pojawi się oczekiwana, matka najpierw chwilę milczy, obrażona, potem nie wytrzymuje i zaczyna gderać:

– Trzeba nie mieć sumienia, żeby mi robić tyle zmartwień! Noc jest, wszędzie pełno chuliganów (według matki dziewięćdziesiąt dziewięć procent mężczyzn, to chuligani), taki tylko czeka, żeby ułapić za torebkę albo palnąć czymś w głowę. Już niedługo pożyję – ten strzał jest zawsze celny – ale jeszcze każdy musi mi dodawać zmartwień.

– Przecież ci mówiłam, że wrócę późno – odpowiada któraś z nas, lekko zniecierpliwiona.

– Nic mi nie mówiłaś! Jakbyś mówiła, to bym o tym wiedziała!

– Owszem, mówiłam ci, tylko pewnie wtedy akurat rozmyślałaś o wróblach i nie uważałaś, co mówię.

Wróble zaprzatają uwagę naszej matki równie mocno, jak sprawa budowy domów, posuwająca się w denerwująco wolnym tempie. Już o świcie biegnie do kuchni, wysypuje do małego kubeczka po kefirze trochę płatków owsianych, potem zawija głowę ręcznikiem i zapina agrafką szlafrok wysoko pod szyją (żeby jej nie zawiąło), otwiera okno i wysypuje do karmnika płatki. Chowa się za firankę, żeby nie płoszyć wróble, których szczególną cechą jest tchórzostwo i podejrzliwość; prawdopodobnie każdy zauważony ruch uważają za perfidnie przemyślaną zasadzkę. Matka bezpiecznie ukryta, z kąta pokoju obserwuje nalot wróble i poranną awanturę w karmniku. Zawsze je karci i poucza, w jaki sposób powinny spożywać śniadanie:

– Po co to się tak pchać, dziobać po głowach i rozrzucać owsiankę? Jakby każdy spokojnie zjadł swój płatek, to by starczyło dla wszystkich i nic by poza karmnik nie spadło. Ale mówże tu do nich! Narozsypują i jeszcze do tego biją się. A przecież nie musisz brać tego samego płatka co tamten! Masz inny obok!

Wróble jeszcze mniej przejmują się naukami matki, niż my z siostrą. Matka niby złości się, ale jej oczy są pełne zachwytu i miłości. Mogłaby cały dzień obserwować wróble i mówić do nich, czy też raczej do siebie:

– Jakie to słodkie! Jakie to mają gładziutkie główki! Takie przylizane, okrągłe, jak w chustusi...

No więc przez wróble, czy nie przez wróble, matka zapomina dosyć często o ważniejszych sprawach. Jeżeli zapomniała o temacie późniejszego powrotu do domu, mojego czy siostry, po narzekaniach na naszą obojętność i nie szanowanie jej nerwów i zdrowia, próbuje zadookumentować stan „przedagonalny”, który zbliża się dzięki którejś z nas; zaczyna mówić omdlałym, przerywanym z bezsilności głosem o zbliżającym się rychłym końcu jej życia. Siada w kuchni na krzeselku, w najciemniejszym kącie, opiera głowę na ręce (oczywiście osłabienie nie pozwala jej utrzymać głowy w normalnej pozycji) i swoim zwyczajem kiwa się w przód i w tył. Chwilę trwa niemiłe napięcie, potem któraś ze stron decyduje się iść na ustępstwo, więc albo ja, albo siostra mówimy:

– Jeżeli się źle czujesz, to może łyknij sobie trochę koniaku?

Czasem znów matka dochodzi do wniosku, że nie ma co „przeciągać struny” i sama (jeszcze słabym głosem) oświadcza, że napije się naparsteczek koniaku, to się zaraz lepiej poczuje.

Matka zawsze pije koniak w kieliszku od jajka. Są w domu koniakówki, ale matka twierdzi, że „ten ma swoją miarkę” i lepiej w nim smakuje. Prawdopodobnie, albo raczej z całą

pewnością, chodzi tu o oszczędność naczyń; wszystko co mniejsze, wydaje się matce praktyczniejsze, kiedy przychodzi do mycia. Nie pomogą tłumaczenia, że duży talerz tak samo trzeba wymyć, jak mały i to samo dotyczy kieliszków. Matka ma własną filozofię naczyń, od której nie odstąpi za nic na świecie. Wybiera najmniejsze talerzyki i układa na nich wszystko w kształcie kopca; jeśli człowiek chce się wziąć do jedzenia tego czegoś, tak pieczołowicie i zmyślnie nałożonego, wszystko rozlatuje się na boki i spada na serwetę na stole. Często w takich wypadkach idziemy z siostrą do kuchni, bierzemy większe talerze i przesypujemy te kopczyki. Wówczas matka ma o dwa talerze więcej do mycia, co jednak nigdy jej nie zraża i znów następnym razem widzimy przed sobą zgrabnie ułożony kopczyk.

Prawdopodobnie we wszystkich rodzinach odbywają się jakieś walki, więc i my toczyliśmy tę nie kończącą się, bezkrwawą walkę z talerzykami, oraz ze wszystkim, co jest inne w nas i inne w naszej matce. Wcale nam to nie przeszkadza żyć. My z siostrą ciągle jeszcze rozumiemy, że każdy człowiek ma prawo być inny, nasza matka natomiast jest zdania, że każdy powinien być taki jak ona. Człowiek, który jest różny od niej, zasługuje tylko na jedno określenie „idjota”. W ciągu każdego dnia słyszy się często to słowo, skwitowane jeszcze lekceważącym machnięciem ręki. Jest to gest, który w werbalnym przekładzie w pełnym brzmieniu wyglądałby następująco: „Nie ma o czym mówić! Dajmy lepiej temu spokój, bo to całkowity idjota!”

Po wypiciu swego „jajowego” kieliszka, wypełnionego koniakiem, matka jeszcze dokładnie wymazuje go palcem, żeby się nic nie zmarnowało, palec oblizuje ze wszystkich stron, potem odstawia kieliszek na półkę, za firankę w malutkie kwiatuszki. Ten kieliszek czeka na swoją następną porcję. Nie myje się go, bo po co, skoro znów będzie się z niego piło...

Matka już w lepszym nastroju zasiada na tapczanie, na swoim miejscu z poduszkami... Opiera nogi na krzeselku i jeszcze, żeby postawić na swoim, próbuje nas troszkę szantażować: z uwagą ogląda swoje nogi. Wiemy o tym, że te nogi bywają spuchnięte i że to o niczym dobrym nie świadczy. Oglądanie nóg odbywa się bez komentarzy, w milczeniu; wiadomo, że my to zauważymy i że lęk gości w naszych sercach, czyli że cała uwaga zostanie wyłącznie skierowana na nią. Wówczas czuje się całkiem dobrze, jakby jej nic nie dolegało.

Żeby matkę ostatecznie usatysfakcjonować, opowiadamy jej, co się nam wydarzyło w ciągu całego dnia. I chociaż matka wielu ludzi i spraw nie zna, czuje się bardzo swobodnie w naszym świecie, jakby każdego człowieka, o którym mówimy, widziała tysiąc razy, chociaż go nie widziała nigdy. Przepada zwłaszcza za miłosnymi perypetiami naszych koleżanek. Jeżeli ktoś kogoś rzucił albo odbyła się jakaś publiczna awantura z powodu zazdrości, matka gotowa nam darować nawet najpóźniejszy powrót do domu. My opowiadamy, a ona tylko, od czasu do czasu, wykrzykuje: – Co za świat??! Co za ludzie??! Coś podobnego??!...

Milkniemy na chwilę. Temat się skończył. Ciemność pokapuje po oknach. Firanki już nie są pomarańczowe, są szare. Matka znów się zaczyna kiwać. Kiwa się do swoich myśli, do swoich romansów, do zamierzchłych miłości. Wiemy o tym. Nie jest trudno odgadnąć myśli naszej matki. Ona ciągle jest „w tamtych czasach”. Ciągle jeszcze chodzi „gołymi stopami po rosie”. Przerywamy milczenie. To kiwanie się matki ma w sobie zawsze jakiś osad smutku. Już wolimy, żeby mówiła. Kiedy się przeniesie w odległą młodość, zapomni o spuchniętych nogach, o duszności i o tym, że nie wróci nigdy nic z tego, co było.

Moja siostra, jak zwykle z wdziękiem, zakłada nogę na nogę, opiera wyprostowane plecy o ścianę i niby z ogromnym zainteresowaniem zapytuje matkę:

– Właściwie jak to było z tym twoim pierwszym ukochanym? Nie znam wszystkich szczegółów, a wiem, że to było bardzo interesujące. Każda tragedia miłosna jest interesująca i dlatego ludzie tak lubią melodramaty. Oczywiście nikt się do tego nie przyznaje, a przecież w założeniu naszego życia tkwi melodramat.

Matka nie zwraca uwagi na wymądrzania się siostry na temat melodramatów. Skwapliwie korzysta, aby powiedzieć o tej najważniejszej dla niej sprawie. Tym razem nawet nie próbuje udawać, że nie ma na to ochoty, „jako że my już wszystko znamy”. I opowiada...

### Zaczęło się od mgły na szybie

Więc tak... Zналиśmy się miesiąc z Jankiem. I to była pierwsza miłość. Śliczny chłopak był. Ale nie chcieli rodzice, żebym za niego szła za męż, dlatego że był w wojsku. W pociąguśmy się poznali. Miał czarne włosy, oczy niebieskie, cudło!... On jedzie i ja jadę. I była mgła na szybie. Więc on mi się strasznie podobał, a kolega z nim też jechał i mówi mu „Janek”, no to ja już wiem, jak mu na imię, więc na tej szybie, na mgle palcem wypisałam „Janeczku kochany”. Od razu się zakochałam. A jechałam do Żywca, do brata, bo brat tam mój był przy wojsku. Z nim. No to on mnie zaraz wziął w Żywcu na obiad i potem poszliśmy do brata.

Wróciłam do Suchej, a on w Suchej stacjonował, ale jeździł do Żywca, tak... Jak to wojsko, służbowo. No to jak wrócił z Żywca, to już do mnie chodził. I rzecz jasna, że się zaraz chciał zaręczyć. Ale idzie do mnie raz... Niespodziewanie z Żywca przyjechał, a u mnie siedział inny, co się na zabój chciał żenić, kolejarz: Józio Pazdor. No ale ja myślę o Janku, a rodzice chcą za kolejarza...

Pazdor siedzi ze mną przy oknie... No więc on chciał tak ze mną bliżej... A Janek już nie mógł na to patrzeć, bo stał za oknem. I jakby mnie Pazdor pocałował, to Janek by do niego strzelił – tak mi powiedział. Ale na szczęście takżeśmy tylko siedzieli, bo ja tam nie byłam prędko do niego i potem Pazdor wychodzi. Brat go odprowadzał z latarką, taką służbową, kolejową, co to lampka jest w środku... A od nas były dwie drogi: jedna prowadziła przez pole i koło takiego, nazywał się Głęboki Potok; głębina była i taka mała ścieżka koło kraja. A bliższa droga do stacji była przez pole. Więc Janek myślał, że Pazdor pójdzie przez to pole do stacji i tam czekał na niego z rewolwerem. Byłby go zastrzelił. Ale brat mówi: „Chodźmy na przełaj, koło Głębokiego Potoku”. I tam poszli, i Jankowi się nie udało przelecieć, bo tam była głębina, tylko z daleka „puf!” z rewolweru dał dwa strzały. No to my straszne krzyki narobiliśmy, bo dwa strzały były, to ja myślałam, że zastrzelił brata i jego. Mój ojciec wyleciał, krzyczy ogromnie: „Stasiu! Gdzie jesteś?!” A ja znowu, wołam: „Janku! Janku! Coś ty zrobił?!” A ojciec: „Stasiu! Stasiu! Czy żyjesz?” A ludzie znowu... za tym potokiem, tam dużo chaupów jest... Ludzie się drą!... Wszystko wyleciało na pole, bo to straszny hałas był wieczór. W zimie to taka jest cisza na wsi. Wszystko krzyczy: „Wincenty! Co się tam stało?!” A ojciec im odpowiada: „gówno!” Bo był wściekły, że się pytają jeszcze. On myślał, że nieżywe dwa trupy, a oni się jeszcze pytają... Dalszy ciąg taki: więc my stoimy, wtem brat wraca. No to ojciec się cieszy, łapie jego, a ja łapię Janka. Pytam się: – Coś zrobił, Janeczku?

– Co zrobiłem? Nic. To nieważne.

A brat mówi: – Nic nie zrobił. Do latarki kulka trafiła.

Ale Pazdor poszedł prosto do rynku, na policję zdać. A Janek został u nas. Rodzice mówią: – Nie damy ci dziecka! Pójdzie na zakonnicę, a nie damy ci jej! Ty bandyto! Taki, owaki!

– Pójdzie na zakonnicę, to ja ją i tak ukradnę. Wezmę ją na konia i ukradnę. Ona i tak musi być moja! – Tak powiedział.

Ja bym się dała ukraść. Jeszcze dziś bym z nim poszła.

No więc ja jestem szczęśliwa, że on jest, że żyje. A potem jest sąd, bo tamten podał to do sądu. Ale Janek mnie pouczył, co mam powiedzieć, jak pójdę do przysięgi. Do przysięgi poszłam, chociaż byłam jeszcze za młoda, ale kazali mi mówić, jak on strzelał.

– Powiedz tak, że to był straszak. Że ja ze straszaka strzelałem.

No to ja tak powiedziałam.

– A czy panienka widziała tę broń? – pytali mnie na przysiędze.

– Nie widziałam. Bo mi nie pokazywał. – Bo faktycznie nie. Ale gdzież on mógł mieć straszak?... W każdym razie był sierżantem, to go zdegradowali. Nie był już sierżantem, bo kara musi jakaś być. I poszedł dalej. Pojechał do wojska. Jeszcze był w Żywcu jakiś czas i pisze, i pisze... Ja byłam biedna z domu i biednie ubrana... „Strzępku Obtargańcu” pisze „taka masz iść do ślubu, jak jesteś, jak cię poznałem”. „Nie chcę nic od niej! Taką mi ją dajcie, jak ją widzę!” pisze do moich rodziców. No i „Przyjeżdżam. Zaręczyny będą w Święta Wielkanocne”. Ale rodzice za Boga nie pozwolą na żadne zaręczyny!... Co tu robić?... Tylko się modlić... Więc mi doradzili ludzie, żeby w Wielki Piątek nic nie jeść, nic nie pić, to dojdzie do wszystkiego; Pan Bóg wysłucha, wszystko się spełni. No to ja to zrobiłam: nie jadłam, nie piłam, żeby się te zaręczyny odbyły... I faktycznie! Zgodzili się na zaręczyny. Do tego stopnia nawet, że ojciec poszedł i pierścionek kupił, chociaż był biedny. A ja tak się dalej modliłam, że aż mama dała na mąkę, na masło, na jaja. Siostra wzięła taczki... takie taczki, co się wozi... o jednym kółku, takie z drzewa... wozi się tam bądź co na tym... Pojechała siostra z mąką, z masłem, z jajami do rynku, tam gdzie druga siostra mieszkała. To było daleko. Bo my tak mieszkali na wzgórku, na wiosce. Pojechała do rynku z tymi taczkami, wszystko zawiozła, piekła. Napięła pełno dobrych rzeczy na te zaręczyny.

Janek przyjechał z pierścionkiem od razu. Zaręczyny się odbyły sute. Kazał wódek napić, piwa kazał beczkę kupić... Dwa dni był u nas. No więc odbyły się zaręczyny, bom się o to modliła, a nie pomodliłam się, żebym za niego wyszła! A Janek mówi tak:

– Mamy jeszcze w wojsku jedno zadanie. Bardzo trudne. Jak to przejdzie, dostanę miesiąc urlopu, odpoczynek, po froncie. Przyjadę i się pobierzemy.

Pojechał. Bo był we Lwowie front wtenczas. Ostatni. I tam zginął. Mój kuzyn też, który był oficerem. Leży tam na cmentarzu, nawet mu zrobili grobowiec. Zdjęcie kuzynki mają, tego grobowca. Nazwisko tam jest i wszystko, a Janek był pochowany tylko tak, normalnie, ale też na cmentarzu. I przyszedł mi taki list... Od księdza z pułku. Bo wiedzieli wszyscy, że on ma dostać urlop, że się ma żenić...

Przyszedł mi list, że mnie pociesza ksiądz, żebym nie rozpaczała, bo Janek zginął na polu chwały, jak wielu innych, ale przynajmniej nie jest gdzieś w rowie, czy też na polu pochowany, tylko na cmentarzu, bo umarł w szpitalu. Dostał kulkę w głowę. Był na dachu. Koledzy go ostrzegali: „Nie wychodź na dach!” A on wyszedł, więc tam na tym dachu zginął. No i już więcej nie wrócił, bo już go nie było. I tak się skończyło.

### **Ślub w listopadzie i ani listka na drzewie!**

Janek zginął dwudziestego kwietnia, a ślub z waszym ojcem był dwudziestego listopada, za całe pół roku. Zdjęcie ślubne robili my w sadzie. Ani listka już nie było na drzewie! Same patyki, czarne i smutne, jak całe życie z Tugelem.

Najpierw jeszcze, jak już Janek zginął, to ten Pazdor przychodził, ale już nie było o nim mowy, bo mi narobił przykrości, za to że go Janek wtenczas nie zastrzelił. Ale to nieważne. Waszego ojca poznałam tak, że przyszedł do nas z bratem, bo ten brat chciał się żenić z moją siostrą Józią. Byli bardzo zakochani w sobie. Tylko że on prosił, żeby majątek zapisali jemu, bo on chciał z Józią zostać na tym gospodarstwie, żeby gospodarować, i rodzice będą przy nich. Mieliby bardzo dobrze. Ale oni tego nie zrobili, nawet nie chcieli dać Józii w wianie choćby tylko maszyny do szycia, więc on wyjechał. Ale najpierw przyprowadził brata, żeby go swatał, żeby mu tę żeniaczkę załatwił. Więc nie doszło do tego, a znów Tugel, wasz ojciec,

jak mnie tylko zobaczył, to chciał tej samej nocy brać ślub ze mną, chociaż wiedział, że mnie też w posagu nic nie dadzą, ale nie patrzył na to, a bratu to moją siostrę Józję odradził, żeby jej nie brał bez majątku. Jak przyszedł, tak nie odszedł już do rana. Ja na łóżku leżałam, siostra koło kraja, bo ja od ściany. A mama siedziała cały czas przy nas na krześle. Do rana siedziała! A rano on pojechał do służby, bo był kolejjarzem i obiecał się zaraz żenić. Tylko dzień minął, przychodzi list w nocy, ekspres polecony; listonoszka przyniosła go do domu, do nas. Wtedy nikt nie pisał żadnych ekspresów, to nawet w nocy z takim listem lecieli, bo to było takie Bóg wie co... Tugel pisze w tym liście, że przyjeżdża rano wczas, niesiemy na zapowiedzi, bo był piątek. W piątek się dawało na zapowiedzi. A tu družba, co drużnowałam z nim w międzyczasie, był już taki zakochany, że tylko myślał o żeniactwie ze mną, ale ja o tym nie myślałam wcale. To był Romuś Pyka. Pykowa bardzo rozpaczła, jak się dowiedziała o liście Tugela, bo myślała, że wyjdę za jej Romusia. No ale przyjechał Tugel. A ja go nie chciałam za Boga! Tak go nie chciałam, że powiedziałam, że oprócz wstępu nic do niego nie czuję. A moja mama powiedziała tak:

– Za niego nie pójdziesz, to cię do Żyda dam na służbę!

Ja do dziś dnia żałuję. Mogłam u Żyda służyć, a byłabym wyszła za innego. Ale mama mówi, że Tugel jest kolejjarz, jest bogaty, a chociaż ja go nienawidzę, to po ślubie się miłość znajdzie. No to ja se myślę – może się i znajdzie?... – Uwierzyłam w to, bom głupia strasznie była. No i tak się stało, że się nie znalazła ta miłość.

On rano przyjechał i niesiemy na te zapowiedzi. Tam była mama jednego sierżanta, Zborowskiego, co mi się bardzo podobał i ja jemu jeszcze bardziej. Więc sobie myślę: „Pójdę ja za tego sierżanta Zborowskiego” i mówię jej: – pani Zborowska! Chciałabym się strasznie teraz znaleźć z powrotem w domu, to bym tu już nie przyszła! Rodzice mnie wypchali, musiałam na zapowiedzi przyjść, a ja bym wołała za Olusia paninego wyjść!

A ona mówi tak:

– Panno Juleczko, jakże to... Oluś wszystko ma przygotowane, całą skrzynię ma zakupionego różnego płótna, bo wie, że panienka biedna, wszystko dał poszyć, całą wyprawę i tylko z panienką chciał się żenić, bardzo tego pragnął. Nie wiedział, że panienka za innego będzie wychodziła.

Ja mówię: – Rodzice mnie zmusili, ale ja bym wołała za Olusia iść spośród innych.

Ona mówi: – No już trudno. Musi tak być. Olusiowi będzie przykro. A jak się to stało? – pyta.

Nie wiedziałam, jak to się stało, bo się stało wszystko za prędko. Żeby wcześniej się zdążyła ugadać z Olusiem, to bym za Tugela nie poszła. Potem Oluś powiedział, że musi się z taką ożenić, żeby była do mnie podobna i musi jej być na imię Jula. I rzeczywiście z Julą się ożenił.

Zapowiedzi się odbyły, bo już nie było innej rady i zaraz potem Tugel pojechał do Płaszowa, bo był tam na służbie, a w międzyczasie przyjechał jeszcze z miasta Łodzi Jasiu Wieszcak. Malarz pokojowy. Dwa tygodnie był u nas, a ja byłam w zapowiedziach, ale Jasiu o tym nie wiedział. Brunet. Piękny. Dwa tygodnie ojcu pomagał. Liczył na to, że będzie zięciem. Myśmy nic nie mówili, bośmy się go bali. Na szczęście odjechał. Potem Tugel wrócił i jest ten ślub, a Jasiu nic nie wie, pisze list za listem, co jedna linijka to innym atramentem, taki był zakochany...

Przychodzi do tego ślubu, no to trudno się nazywa. W stolarni... bo ojciec miał stolarnię, w stolarni było wszystko napieczone do wesela, sukienka do ślubu, kwiaty, wszystko. Tam było takie mieszkanie, na razie. No to zrobili tam legowisko dla młodego pana. A mama spała w kuchni i ja miałam spać z nią, ale poszłam do stolarni, siedzę z nim i rozmawiamy sobie, a mama przyleciała i łap mnie za rękę: – Chodź tu zaraz! Tu ci nie wolno siedzieć! Jutro tu będziesz siedziała!

Na drugi dzień muzyka gra jak diabli przed domem! Przylecieli wszyscy! Na próg aż postawali. Muzyka rżnie wszystkie weselne kawałki, i ruszyliśmy, idziemy po śniegach, družbowie mnie pod ręce prowadzą, już my są w rynku, przy kościele, a ja bukiet zapomniałam, boby mi przecież zawadzał, kiedy mnie tak pod ręce prowadzili. No to dopiero jeden družba leci do domu po bukiet. A w Księżym Potoku pół wsi z Kurowa czekało na to wesele. I potem wszyscy do nas przyszli! Dwa dni byli u nas. Wszystko pozjadali, aż zabrakło, no bo przecież dwa dni?... Dajże spokój!... Co było napieczone, to pozjadali, powypijali gorzałki i piwa, ale nikt nic nie przyniósł na wesele!

W stolarni, jak tam były napieczone ciasta na wesele, to szczury wywlekły wszystkie francuskie ciastka. Pod podłogę zaniesły. Deska była stara; wykradły. Rano mama idzie po ciasta do wesela – ciastek nie ma! Francuskie były najlepsze. Inne były, ale francuskie wywlekły i nie wiedzieliśmy, gdzie się podziały. Za parę dni mama sprząta, deska się podnosi, mama patrzy, a tam resztki po ciastkach. Okruszki tylko, cukier taki...

A jeszcze przypomniało mi się, że kiedyś przed ślubem, zanim jeszcze poznałam waszego ojca, to było tak, że raz był u mnie Zborowski. Ja znowu leżałam od ściany, a Józia z brzegu, i Zborowski siedział, ja miałam warkocz przerzucony przez Józję, i on ten warkocz mi zaplatał, a mama nie ruszyła się z miejsca, tylko siedziała cały czas, różaniec mówiła i oka z nas nie spuszczała. Warkocz miałam długi, aż poza pół nogi, poza brzuszce. A siostra Józia przecież dlatego umarła, że ją za Frania nie chcieli dać, więc ona jechała na sankach, bo się chciała zabić. Jechała na sankach z góry na dół i uderzyła się o dęba, rozbiła kręgosłup specjalnie, ale się nie zabiła. W Krakowie założyli jej gips, ale to ją strasznie bolało, do krwi ją oberżnęło prawie. Tej samej nocy ojciec musiał jej to przepiłować i zdjąć, bo strasznie płakała do rana z bólu. No i tak już leżała, leżała, dwa lata, aż jej wysechł kręgosłup całkiem. Leżała i cały czas patrzyła do okna. Przed domem kwitły same róże, a jedna róża przebiła koło deski dziurę, bo pod oknem zawsze była taka szpara w ziemi, to róża pod mur przeszła, gliną wyszła na wierzch i taka biała rosła w chaupie do góry. No i Józia patrzyła sobie na tę różę, jak umierała. Przez te dwa lata leżenia zrobiła się taka malusienka jak bocheneczek chleba, można ją było pod pachę włożyć, a jak umarła, to trumienkę miała taką małą, jak żelazeczko.

## Najważniejsze, aby komuś zaimponować

Nasza matka przepada za zabawami, muzyką, tańcami i śpiewem. Złości się na wszystko to niesprawne w swoim ciele, co jej przeszkadza w używaniu rozkoszy życia. Często mówi, że pazurami wyrwałaby z płuc to coś, co jej tam rzeźi i nie pozwala oddychać. Nogi ją bołą, zwłaszcza w kolanach. W kościele nie może klęczeć, bo potem ma trudności z wstawaniem. Kiedy wysiada z samochodu, kilka osób musi jej pomagać, bo twierdzi, że „nogi się jej za stały podczas siedzenia”. Zresztą wysiada w niezwykły sposób i nie ma możliwości, aby ją nauczyć, że najpierw wysuwa się z samochodu nogi. Nasza matka „wie wszystko najlepiej”, wysuwa więc najpierw głowę, zostawiając za sobą resztę ciała. Kiedy już ma głowę na zewnątrz, oczywiście nie jest w stanie utrzymać równowagi, trzeba więc ją chwycić pod ramiona, ale i tak w dalszym ciągu nie może się zmieścić w małym otworze samochodu. Kiedy wreszcie z trudem się ją wyciągnie, zatacza się na podgiętych nogach i oświadcza, że więcej do samochodu nie wsiądzie, bo to nie dla niej. Pogrożki jednak nigdy się nie sprawdzają, gdyż matka woli znów następnym razem wykręcać ciało w męce wysiadania, zamiast zrezy-

gnować z luksusu jazdy samochodem. Ponad wszystko lubi imponować! Czymkolwiek. Samochód i ona w samochodzie jest z całą pewnością powodem do imponowania. Martwi się tylko, że może za mało osób wie o tym, iż ona „jeździ samochodem, jak jakaś wielka pani!”

Jeżeli w naszym życiu wydarzy się cokolwiek, co mogłoby nas wyróżnić od innych ludzi, matka niespokojnie krąży po mieszkaniu, zastanawiając się, komu by można o tym wszystkim powiedzieć?... Na zapytanie: Dlaczego ci na tym zależy, aby inni ludzie o wszystkim wiedzieli? – odpowiada oburzona:

– Jak to ma mi nie zależeć? Przede wszystkim ważne jest to, aby każdy wiedział! Jak nikt nic nie wie, to po co to wszystko? Nic mi nie przyjdzie z tego, że sama coś wiem. Niech mi inni zazdroszczą!

Często z siostrą zmyślamy jakieś wydarzenia, które mogą przydać blasku naszej matce, bo jeżeli nas spotkało coś niezwykłego, to zaszczyty spadają na nią, jako naszą matkę. Nikt przecież nie ma prawa mieć zdolniejszych i mądrzejszych dzieci, niż ona! Czasem trochę zagalopujemy się w kłamstwach, wówczas matka patrzy na nas podejrzliwie tym „dobrym okiem” i kategorycznie żąda: – Dajcie mi słowo, że to jest prawda! – My dajemy słowo i matka jest zadowolona, choćby nawet niezupełnie wierzyła w tę prawdę.

Matka nie wie, że wiek narzucił jej wiele dziwactw. Wydaje się jej, że jest w sam raz taka, jak być powinna. Jeśli opowiadamy jej o przywarach czy też niezwykłościach innych matek, z dezaprobatą kręci głową: – Co też się z ludźmi potrafi dziać na starość??! Dobrze, że ja jestem całkiem normalna. Przecież to by wytrzymać było trudno z takim dziwadłem! – Często nawet szykuje się do rozmów z którąś z tych innych matek, twierdząc, że „już ona by je nauczyła, jak trzeba żyć i co robić. Wybiłaby im z głowy ich dziwactwa...”

Kiedy matka ogląda w telewizji jazdę figurową na lodzie albo balet, zaczyna nerwowo zaciskać palce i skubać materiał sukni czy fartucha. Robi się czerwona z podniecenia i pojękuje:

– Że też ja za młodu byłam taka głupia, że się nie nauczyłam tak jeździć albo tańczyć! Albo że przynajmniej dzieci nie dała na takie tancerki wyuczyć?... Wszystko przez to, że wtedy nie było telewizji i człowiek o niczym nie wiedział. Teraz bym nie była taka głupia, ale już jest za późno.

Pocieszamy matkę, że chociaż nie bierzemy udziału w tańcach na lodzie ani w balecie, nie mamy powodu narzekać na swoje życie. Matkę to wcale nie pociesza: – Co z tego? Ale jakbyście jeździły tak na łyżewkach, to by teraz cały świat mógł was oglądać! I jaka przyjemna jest taka jazda, albo tańce... Ja za młodu, owszem, dosyć dużo hulałam, bom lubiłam się bawić, ale przecież to nie to samo, co takie wyuczone tańce. I kto tam o tym wiedział? Chyba tylko ten, co się ze mną bawił... Nie powiem, chodziło się na zabawy, nie marnowało się czasu. Zawsze się znalazło okazję, żeby się zabawić. Przecież stale były festyny, zabawy, wesela. A ojciec grywał ze swoją kapelą na każdej takiej uroczystości, to się nie obeszło, żeby mnie tam nie było. Pięknie ojciec grał i przecież sam wszystkie instrumenty wyrabiał, oprócz dętych, bo robił tylko te, co były z drzewa. On był bardzo zdolny. Jakby teraz żył, to by go co dzień pokazywali w telewizji i nas też przy tej okazji. Teraz to ino kto co zarzępoli, już go pchają do wystawy w telewizji! A on był mistrz nad mistrze! No, ale jakże go w telewizji pokazać? Już się dawno na proch rozleciał w grobie... Lubił to granie. Chociaż nieraz to się porządnie umęczył, a bywało i tak, że mało co dostał za granie albo i całkiem nic. Pamiętam przecież wesele Joasi...

I tu płynnie dalsza, zamierzchła opowieść naszej matki...

### **Ślub ciotki Joasi, w pomarańczowej sukni i babka na piecu**



Ciotka Joasia była siostrą waszego ojca. Wyszła za męża, kiedy już była starą panną, bo miała wówczas dwadzieścia siedem lat; jak na owe czasy za dużo. Jak Joasia wychodziła za męża, to była tak ubrana do ślubu: wtenczas były modne materiały takie jak worek, co były zeszyte, workowe, taki trykocik jedwabny. Trzeba było tylko tak gdzieś podciąć, a boki już zeszyte. Więc to było w kolorze pomarańczowym. Jej się tak podobało. Ale przecież może iść do ślubu i stara baba w pomarańczowej albo w różowej. Ja mogę iść do ślubu i w czerwonej! No więc ona tę pomarańczową sprawiła i takich koralików złotych kupiła całe kilo! Wszystko kazała krawcowej poprzyszywać, jak idzie, żeby tak na nitce było. I ta suknia cała była ponaszowana koralikami. Ino się świeciły i ruszały na niej. Takie frędzle! Do tego czarne lakierki, pończochy białe, bo pomarańczowych ani żółtych nie było, a czarnych pończoch nie wdzieje, bo to tylko do żałoby. I welon biały. Ja jej pożyczyłam welonu, bo się nie opłaciło kupować.

Wszyscy przyszli na wesele, jej rodzina, no to ona sześć kilo mąki kupiła i napiekła placków!... Sześć kilo mąki na placki, na wesele, a ja byle kiedy napiekłam ciasta z pięciu kilo, byle kiedy, tak dla domu. A ona: „Sześć kilo mąki kupiłam! Napiekłam!” Ale teraz komu dać tych placków, jak ludzi tysiąc, a tu placków tylko z sześciu kilo?... A jeszcze takie chamy tam były, co brali wszystko do kieszeni! Po pół placka do kieszeni! Pod pachę! Pod kapotę! Każda baba kaftanik rozpięta i tam pchała placki. Ja nie miałam gdzie wepchnąć placka, bo już byłam... tego... z Lidusią... Nie dam nigdzie placka, bobym grubsza była, a widzę, że wszyscy chowają, to też chciałam trochę schować, bo wiedziałam, że tam będziemy głodni na tym weselu.

A chłopom kupiła parę flaszek wódki; litrowe takie flachy czyściuchy. To każdy do garneczka porwał... garneczki takie do kawy. Ponalewali gorzały z tych flaszek po pełnym garneczku i wypili. Raz-dwa, w mig już nic nie było!

Te chłopcy przyjechały końmi, bo końmi się do ślubu jechało. Daleko, do drugiej wsi. Trzeba było jechać takimi wawozami, tu przepaść! Z tyłu wysoko! To ja się darłam cały czas, ilem sił miała, od strachu, bo oni byli pijani i strasznie wariowali na tym wozie! Zacinali konie, a konie kozła stawały!

No to już po ślubie wracamy do jej domu. Mój ojciec też był, bo grał na tym weselu. I mama też była. Dziś ją widzę, jaka głodna była. Prosiła, czybym nie ukradła gdzieś dla niej placka, a ja mówię: – Już nigdzie nie ma, bo pochowały baby do zanadry, chłopcy do kieszeni. Nie ma nic!

– Choć wódki, żeby się zagrzała! Choć herbaty...

Herbaty nie ma, bo matka tej młodej panny, to taki był cmok straszny, siadła na kuchni, na piecu i nie puści! Z pieca nie zejdzie, żeby nikt broń boże nie gotował herbaty, żeby nikomu nie dać! Więc na weselu nikt nie dostał herbaty, a te chamy wypili całą gorzałkę... Nikt herbaty nie wypije, nikt się nie zagrzeje. Ona siedzi cały czas na piecu i pyskuje. A młoda panna ze swoim młodym panem... Jego bolał cały czas żołądek. On na ten żołądek umarł, ale po pięćdziesięciu latach. Miał dwadzieścia lat, jak się zenił, a siedemdziesiąt, jak umarł. Pożył trochę... Żołądek go bolał, więc trzeba było legnąć, a nie było na łóżku nic, tylko słoma w kuchni, i on na tym żołądku leży, zwija się, to Joasia chciała koło niego, że go tam niby ratuje. W welonie, w tej sukni pomarańczowej ze złotymi koralikami i w lakierkach legła tak na przełaj na nim i go pocierała po tym żołądku... i tak leżeli jak dwa barany. A jej matka dalej siedzi na piecu, rozwalila spódnice, żeby nikt tam nie gotował... Ja bym była pod nią gotowała, co mnie taka złość brała!

A ksiądz był jeden taki, co mi się strasznie podobał. Kochałam się w nim ogromnie dawno, jak miałam czternaście lat. Bo pracowałam w jednym sklepie, a on tam miał naprzeciw wika-riówkę, to my tak wychodzili: on przed kościół, a ja przed sklep – i tak my kukali do siebie. I myślę sobie, pójdę kiedy do spowiedzi do niego, to go choć z bliska uwidzę. Ale com poszła, to on wyleciał z konfesjonału. Nie chciał mnie spowiadać. Ale jak był na ambonie, to już cały czas na mnie patrzył, tom ja już pod amboną sterczała i patrzyła na niego.

Sklep był pod Zawoją. I on miał iść jednego razu do Suchej, pieszo. A szło się przez góry, przez lasy, ze trzy godziny. Ja sobie myślę: pójdę z nim przez góry, jak kiedyś pójdzie... Pójdziemy razem przez te pola. Tyle czasu się ugadamy!... Nie przyznał się, kiedy pójdzie, no to potem jakoś tak było, że go więcej nie widziałam. Ale teraz ja patrzę, on tu na tej wsi jest księdzem, bo Joasi ślub dawał! Dowiaduję się, że ksiądz idzie! To ja się teraz z nim zobaczę... Idzie przez śniegi, wali do góry na to wesele, bo przecież dawał ślub, to se myśli „pójdzie życzenia złożyć”. A tam zamieszanie! Bo ksiądz idzie, a tu ani placka, ani herbaty, ani gorzałki! A oni leżą na tej słomie!

– Lećcie powiedzieć, że państwo młodzi bardzo dostali boleści! Niech się ksiądz wróci z drogi!

A ja szczęśliwa, że ksiądz idzie, cieszę się ogromnie, bo tu z nim pogadam... No ale ksiądz się wrócił i już nie miałam sposobności nigdy go zobaczyć.

Mój ojciec z muzyką przyjechał, bo kazali, ale nikt nie dał grosza muzykantom ani też jeść nic. No to była tam, z kilometr drogi, karczma taka jak na wsi. Poszli tam grać cały dzień, żeby coś zarobili. Ja z nimi poszłam i tam się hulalo w tej karczmie cały dzień! I tak to wesele Joasi się skończyło. Przyjechaliśmy z powrotem do Suchej, z muzyką i ze wszystkim.

### **Jak kołyska z Lidusią uciekała po lodzie...**

Lidusia przyszła na świat w listopadzie. A jest w styczniu karnawał. Zabawy... No to Lidusia miała tyle, co od końca listopada do stycznia: trzy miesiące. Mieszkałam nad kościołem kawalek. Ulica Kościelna była długa, a z Kościelnej jeszcze dalej było na ulicę Podgóorską, gdzie były zabawy, w takim wielkim budynku, magistrat się nazywał. To ja zabawy nie opuściłam żadnej. Ale dziecko małe. O wózku nie było wtedy mowy, tylko kołyski. Kołyska to są chodzidła takie, co się je kołysze. Dwie drabinki i chodzidła. Taki złobek to był. No to mam kołyskę. Trzeba na tę zabawę iść, nie ma kogo przy dziecku zostawić, chłopisko było w drodze, kolejarzysko, to wtedy się najwięcej szło na zabawę, żeby nie z nim. Idę ja, w ślubnej sukni... Ulica Kościelna cała na dół, a lód! Szklanka! No to mi było fajnie. Wzięłam za sznurek kołyskę i wlekę. Siostra moja mieszkała naprzeciw magistratu, siostra Hela, bo Józia umarła. Hela miała małe dzieci, ale też była na zabawie. To ja sobie myślę, zostawię tam dziecko i będę tylko dolatywać do niego. Miałam wtedy siedemnaście lat. To ja wlekę kołyskę po lodzie. Kołyska mi ucieka naprzód, ja jeszcze tu, a kołyska ucieka po lodzie przede mną! Kołyska mnie wlecze na dół, a ja jeszcze w tyle. Za sznurek trzymam, bo mi ucieknie Lidka! Zjechałam z nią na dół. Ledwo! No i do siostry kołyskę, a ja na zabawę. Ale ja taka czuła byłam do dzieci, co chwila do tej kołyski lecę, czy dziecko nie płacze... Z tego wszystkiego zgubiłam na i zabawie bransoletkę. Śliczną. Do dziś mi jej żal. No ale nic, już jest po zabawie, wracamy do domu. Rano. I znowu jedziemy do góry, do domu. Jest ósma godzina rano, a ksiądz prawie idzie do chorego z Panem Jezusem. Dzwoni na dzwonek, a mnie chłop odprowadza, bo któż by mi kazał samej iść? Ten mnie wlecze pod pachę, a ludzi z kościoła pełno i do kościoła, a tu kołyska z małym dzieckiem, styczeń, ósma rano, a ja w białej sukni. No to była na środku tej ulicy cukiernia „Warszawiak”, więc do tej cukierni mnie zaprosił. Ja trzymam kołyskę za sznurek, w drzwiach cukierni, a on bierze puszkę z cukierkami, z czekoladkami, pras na ziemię! Jedną! Drugą! Ja się zlekłam, a on mówi:

– Ile to kosztuje? Wszystko płacę. Taki zwyczaj jest u nas, warszawiaków. Ja jestem warszawiak. U nas się tak płaci.

Wszystko popłacił. Wyszliśmy, idziemy pod rękę i wtedy ksiądz prawie idzie. Potem było kazanie i ksiądz opowiadał to wszystko. Nie powiedział nazwiska mojego, tylko jak to było, tak opowiedział:

„Idę do chorego, a tu młoda matka wiezie rano dziecko z zabawy. Na mrozie!” Pięknie to było wszystko. Pięknie!...

## **Dobroć się rozdziela i segreguje**

Nasza matka lubi rozrzucać swoje uczucia po świecie. Bez przerwy kombinuje, komu i w jaki sposób można by pomóc. W tej filantropijnej manii jest jednak pewna przebiegłość: stare rzeczy, które można by wyrzucić, matka od nas zabiera, aby nimi obdarowywać biednych ludzi. Najpierw jednak segreguje dokładnie, co dla kogo: dla najbiedniejszych najgorsze rzeczy, dla mniej biednych lepsze, bo przecież ci mniej biedni mogliby się obrazić. Składa plastikowe torebki od mleka, kubki po kefirze i maśle roślinnym, papierowe torebki i nawet stare gazety. Kiedy wyjeżdża ode mnie, żeby pobyć trochę w swoim mieszkaniu, jej bagaże pęcznią i przybierają na wadze. Trzeba opłacić konwojenta wagonu sypialnego, aby pomógł matce umieścić te załadowane starzyzną pakunki, a potem wysadził ją ze wszystkim w miejscu przeznaczenia. Tam już czeka na nią jedna czy kilka osób, aby znów pomóc jej w dotransportowaniu wszystkiego do domu. Potem przez kilka dni rozsypuje węzłki sznurków, którymi powiązała torby i paczki, wysypuje zawartość tych skarbców na tapczan, złości się, że ma tyle kłopotu, znów na nowo segreguje, dzieli papierowe torebki na równe stosy, każdy z osobna wiąże sznurkiem, oczywiście stworzonym z poszczególnych, powiązanych strzępków, i te dary ze starych, zużytych torebek (papierowych i plastikowych) znosi na rynek, dla kobiet, które sprzedają jarzyny. One nie mają dla klientów opakowań, więc bardzo są rade tym torebkom. Zawsze wtedy matka ma dzień triumfu, kiedy wkracza na rynek i rozdziela te dary. Dla niektórych, o których wie, że są biedne, ma jeszcze dodatkowo starą odzież. Ale nigdy jednej nie daje wszystkiego, dzięki czemu może posłyszeć słowa podziękowania od kilku osób. Chociaż kupując jarzynę potrafi się targować o pięćdziesiąt groszy, nigdy nie przyjmie nic w zamian za te prezenty. Posiada swoją dumę. Filozofia oszczędnego życia każe się jej targować, ale duma nie pozwala brać niczego za darmo.

Kiedyś, kiedy jeszcze nie było tak źle z jej oddechem, jeździła dosyć często do Suchej, do swojej wsi. Prawie nikt jej tam już nie znał, ale to matkę nie obchodziło, bo ona znała Suchą. Z dworca kolejowego wspinała się ścieżką Cholernego Lasu w górę, zasiadała na jakiejś polanie i kiedy pojawiały się dzieci wracające ze szkoły, rozdawała im cukierki, a kobietom, których wygląd świadczył o ubóstwie, rozdawała stare, znoszone przez nas rzeczy. Nie wiadomo, co sobie ludzie myśleli o „tej pani”, która bez żadnego powodu okazywała swoją szczodrość. Najobficiej byli obdarowywani nieliczni znajomi z dawnych lat. Im się zawoziło ciasta, wędliny i napitek. Potem do rana trwały rozmowy, wspominki i zabawa. Z tych odwiedzin w Suchej matka wracała cała uszczęśliwiona. Traktowano ją tam jak „wielką panią z Krakowa”. Żeby urządzać te uczyty, często musiała sobie skąpić przez jakiś czas, aby zaoszczędzić na przyjęcie w Suchej, ale próżność jej zostawała zaspokojona.

Matka, chociaż lubi „zadawać szyku” i imponować czym się da, nie chodzi jednak po świecie zapatrzona wyłącznie w siebie. Widzi wszystko, co się wokół niej dzieje, a zwłaszcza co się komuś dzieje złego. Prawdopodobnie pamięta ubóstwo swoich lat młodości i nędzę

ludzi, którzy wówczas stanowili jej świat. We wspomnieniach przewijają się stale te postacie. Niekiedy wydaje się, że tamten świat był światem wyłącznie kalek, nędzarzy, wiejskich niedojdów, ciemnoty, zabobonów, tajemnicy i szaleństwa. Gdyby ten miniony czas chciał przełożyć na współczesny język, brzmiałoby to niewiarygodnie i fałszywie, dlatego oddajmy głos naszej matce. Kiedy ona mówi, na swój specyficzny sposób, przeciągając nieco samogłoski, tak jak to robią górale, i nie biorąc nawet oddechu po jednej myśli przed następną, wszystko wydaje się być możliwe i najprawdziwsze.

### Michalek – Rybie Oczko

Michalek jedno oczko miał rybie, a drugie swoje. Białe było to rybie oczko. Nie widział na nie. A rozum miał on do góry nogami. Ale strasznie lubił grać na trąbce. Trąbił przerażająco. On wył tak na trąbce. To mu Niemcy powiedzieli, że jak będzie tak trąbił – bo on Niemców budził – to mu trąbkę wezmą. Wiedzieli, że głuptak, to mu nie wzięli zaraz, ale mu obiecali. Bał się, że mu trąbkę wezmą, więc poszedł do jednej chaupy na strych i schował ją pod siano. I przeżyła tam całą wojnę ta trąbka. Całe pięć lat! No ale w końcu mu zginęła. Ktoś mu ją spod tego siana ukradł. To wziął potem z patyka sobie zrobił albo z papieru taką trąbkę – uzwiął taki rulonik, a trąbił na tym bez przerwy. No to jeszcze jak na Kalwarię mój ojciec chodził z muzyką... Na Kalwarię szło się pieszo trzy godziny... Ja zawsze szłam z nim, bom mu niosła na plecach żywność: kogutki pieczone, chleb, masło... Tak my obydwaj urzędowali na odpuscie... A Michalek z trąbką to z tydzień przedtem przychodził do nas wszystko robić: drzewo rżnąć, krowy paść, żeby tylko na Kalwarię szedł trąbić. A tu trąbić nie umiał. Ale jak ludzi szło ze dwieście z kompaniją, to mu ojciec kazał grać w samym tyle. To wył, jak mu się chciało, z pamięci, bo przecież on coś ta wytrąbił, pieśni jakieś, ale że nigdy dokładnie, bo nuty jak nosił to do góry nogami patrzył na nie. Nie miał pojęcia. I grał w tyle, a dwieście ludzi szło na przodzie, to nikt nie słyszał, co on tam w tyle trąbił. Babki stare, co już nie mogły iść i tak były w tyle, to mu przyśpiewywały. A kapela cała szła na przodzie.

Później już ojca nie było, już Michalek trąbki nie miał, to poszedł do takiego domu ubogich. Przed kościołem był domek ubogich. Małutka chaupina pobielona na biało, okienka przy ziemi, takie nic... Tam mieszkał ze siostrą. Raz mu siostra zachorowała, a on powiedział:

– Jak mi siostra umrze, to pójde na żelazne drogi.

Chciał się położyć na tory, żeby popełnić samobójstwo, bez siostry nie będzie żył, bo kto mu co ugotuje. No ale siostra go przeżyła.

Jak mieszkał w tym domku ubogich, to chodził zamiatać ulicę Kościelną, a strasznie to lubił. Dzieci mu wciąż robiły na złość i śmieciły. Bardzo też lubił dzwonić na dzwonnicy. Budzik miał zawsze przy sobie, chodził na dwunastą godzinę na dzwonnice, bo tam się dzwoni na południe. Patrzy raz na zegarek: „dwunasta”... Zegarek mu stanął o dwunastej w nocy, a była dopiero dziesiąta. On myślał, że już południe. Poszedł i dzwoni na dzwonnicy. A wizawiz kościoła był sąd powiatowy. Sędzia wylatuje i przeklina go:

– Ty baranie stary! Ty capie! A cóż ty o dziesiątej dzwonisz na Anioł Pański, kiedy się dzwoni w południe??!

– A ja mam na zegarku dwunasta – i patrzy na zegarek.

– Ty klarneć! – mówi sędzia. – Bo ci stoi zegarek! Jest dopiero dziesiąta!

Tak się Michalek zezłościł, że poszedł dwa kilometry do zegarmistrza. Kupił nowy budzik. U zegarmistrza na wystawie był zegar, który stał; przecież nie będzie chodził dokładnie... Kupił z tą godziną, która była, że to będzie dobry budzik, bo nowy, z wystawy! I nosił dwa

budziki. Nakręcił ten budzik, tak jak go kupił, z tą godziną, i znowu dzwoni, a tu znowu inna godzina. Już była popołudniowa godzina. Znowu sędzia na niego:

– Czemużes ty, klarnece, nie dzwonił o dwunastej??! Dzwonisz o drugiej??!

– A przecie nowy zegarek kupilem! Wczoraj umyślnie poszedłem do zegarmistrza!

Potem poszedł zamiatać kościół w środku. Zamiatał po południu, to się wnet ściemniło. Kościół wielki i zadrzymało mu się potem. Zasnął w ławce. No to wieczór przychodzi taki chłop, co ma klucze od kościoła: kościelny. I zamknął kościół. A Michałek śpi w ławce. Nikt nie wiedział nic. Ale było mu zimno w końcu nocy. Obudził się. Idzie do jednych drzwi, do drugich, do trzecich, wszystko wyzamykane, w kościele ciemno... Co tu robić? A do domu trza iść, bo zmarzył. Wybił szybkę, taką co są w kościele te kolorowe szybki. Która najniżej była wybił, bo słyszy, że ktoś idzie. Baba idzie koło kościoła i on woła wniebogłoso na tę babę, żeby wołała o pomoc dla niego. Baba widzi w nocy w okienku w kościele twarz i słyszy krzyki, to się złąkla; okropnie uciekała. Nie poszła nikomu powiedzieć, bo myślała, że to duch. Baba uciekła, Michałek dalej w kościele, no co tu robić?... Wreszcie chwycił się dzwonić na dzwonach, a już była północ. To ludzie się poschodzili przed kościół. Pęmo ludzi przyszło! I czekają, kiedy kościół kto odemknie. Myśleli, że msza będzie. Taka wojenna msza. Obudzili proboszcza i proboszcz strasznie Michałka oklął, ale Michałek i tak nic sobie z tego nie robił, bo był dumny, że dla niego cała wieś pod kościół w nocy przyjść musiała...

### **Głupia Kaśka – Jak ją kominiarz gwerem powietrznym otumanił**

U mnie służyła głupia Kaśka. Chodziła do mnie sprzątać i prac. Prasowała pranie żelazkiem na węgiel. Więc musiała się zacadzić i pras nagle na ziemię, do tyłu, a żelazko w ręce trzyma; nie wysypało się jej. A ja zamiast ją cucić, tom się złąkla, uciekłam w pole i wołam na gospodynię, że coś się Kaśce stało. Gospodyni przyszła, polewa wodą, Kaśka wstała i mówi:

– To mnie kominiarz gwerem powietrznym bije! Ten com dziecko z nim miała.

Dziecko miała małe... To chcieli ją zamknąć, ale cóż będą wariata zamykać... Poszła z tym dzieckiem do takiej małej rzeczki i położyła buzią w wodzie i przyłożyła kamieniem głowę i dziecko się tak pomału topiło. Utopiło się. Znaleźli dziecko i ją chcą wziąć. No jakże wariata wziąć?... Ona mówi: – Choć jeszcze będę miała niejedno dziecko, to każdemu tak zrobię, za to że kominiarz się ze mną nie żeni!

Ale jednego razu przychodzi sprzątać i mówi:

– Kominiarz mi kazał przyjść do kościoła, że weźmie ślub ze mną. Nie pójdę! Niech idzie sam! On tam jest dzisiaj. On tam ślub bierze. A ja nie pójdę! Nie ma głupich! Niech se sam bierze ślub!

### **Dziady, co mieszkały w jamie, w ziemi**

Kawałek nad naszą chaupą, wysoko, mieszkała Kwaśna. Kwaśna miała chłopca malutkiego – dziada. Dziadówka wyszła za dziada. Ale mieszkać nie mieli gdzie, bo ona tak: gdzie bądź komu sprzątała, to gdzie bądź się przespała: w szopie u kogo tam, to w stodole, to w chaupie, gdzieś na ziemi koło proggu... No ale chłopca chciała mieć, że się będzie nią opiekował. To oba były dwa dziady. Nie mają gdzie mieszkać, więc sobie tam na górcie, pod lasem... On wziął

łopatę, rył, ona mu zносиła kamienie i zrobił dziurę, taką małą kuchenkę w ziemi wykopał. Desek z tartaku nanosił, bo tam tartak jest, co można takie okrajki brać za darmo, nakładł na podłogę, potem jeszcze na te ściany z kamieni, piec z kamieni zrobił, w środku dziurę i taką rurę do środka wsadził starą, co się kurzyło. I tam gotowali w tych kamieniach. Od śledzi puszkę mieli, co gotowali w niej. Z tej jamy wychodzili obydwaj na dziady. No to tam się im urodziło dzieciśko. To dzieciśko karmiła. Już miało dziewczysko czternaście lat... Koło nas zawsze szła... Dziewczysko takie kosmate było, niewydarzone... Siadła za chaupą, przykryła chustką dzieciśko, dzieciśko tam siedzi, nogi jej widać, a ja idę i po wodę do źródelka, bo tam było źródelko. Mówię: – Kwaśna, co wy tu robicie?

– Eeee, daję jej – mówi – mlycka, z cycoska, bo ni mam przecie mlycka, to całą kozickę tu mo u mnie. Ona ssie do tego czasu, bo ji ni mom za co mlycka kupić.

A kości nosiła... Chodziła na jarmark zawsze, jak już się skończył. Wtedy tak było, co pełno rzeźników sprzedawało w takich jatkach mięso. Jak już wysprzedali, to te kości co były do wyrzucenia, ona prosiła zawsze, już ją znali z tego, to jej dali do worka. W worku naniesła tych kości i różnych ochłapów i głowy takie, zęby... Gotowała to. Ja mówię: – Kwaśna, a gdzie to zjecie tyle tych kości? Taką kupę niesiecie? – To było jeszcze lato. Ciepło. – Przecież się wam zepsuje?

– A co się da, co lepsze to ogryziemy, ugotujemy, a reszta to scury zjedzą. Bo przecie przychodzą do nos scury. Za tymi kościami się zwlekły.

Ludzie chodzili patrzeć na to dziwo, jak oni tam mieszkali z tym dzieciśkiem.

### **Inklus przemienił babie pieniądze w gazety**

W Suchej były jarmarki na takim placu. Tam się sprzedawało wszystko: konie, świnie, krowy, kury, masło, jaja, no jednym słowem, co było na wsi.

Raz baba krowę sprzedała i dała do zanadrza pieniądze. Zawinięte były w gazetę. A wypatrzył to złodziej. Bo złodziej tylko kombinuje, gdzie kto pieniądze ma? Co kto sprzedał?... Chłop poszedł na chwilę do karczmy, a złodziej widzi, że baba za krowę ma pieniądze, poszedł do niej i mówi, że on bardzo by chciał się zagrzać, bo zmarzł.

– No to niech pan na wóz wejdzie!

– Ja gosposi zapłacę. Niech mnie gosposia zagrzeje pod chustką.

Zgadali się, ona mówiła, że dziecko karmi, to on jeszcze bardziej się ucieszył, inaczej może by wyciągnąć mu się nie dało, więc on mówi, że by chciał troszkę tego pokarmu dostać od niej, że jej dobrze zapłaci. Bo mu lekarz kazał.

– No to niech się pan schowa pod chustkę, żeby nikt nie widział.

Schował się, a ona go tam dopuściła do pokarmu. A on z tą gazetą wyjął jej pieniądze i wziął. Zwinął gazetę w kłębek, włożył jej z powrotem, a ten zwitek z pieniędzmi wziął. Jak już poszedł babę, to jej zapłacił dobrze i baba się cieszyła, że zarobiła, bardzo mu dziękowała i poszedł.

A chłop potem przyszedł i, babo, trzeba pokupić coś na wieś: soli, cukru, chleba... Daj trochę pieniędzy!

No to ona wyjmując ukradkiem, żeby nikt nie widział, wyjmując spod piersi ten pakunek, a tam nie ma nic ino same gazety! Ona zaraz wiedziała, co to znaczy, ale się chłopu nie przyznała, bo się bała. Nic mu nie mówiła ino: – Inklus! Inklus był i przemienił pieniądze! – Bo na wsi wierzą w inklusa. Taka przemiana jednej rzeczy w drugą, to inklus.

Chłop uwierzył, że inklus. Bo co innego mogło się stać?... Ale baba się rozgadała o tym do ludzi, dlatego to doszło i tutaj, i teraz ja o tym wiem.

## **Pieczony kot na wesele. Czary – chłop w spódnicy**

Mojego ojca brat, talki starszy kawaler, co grał na skrzypcach, chodził z nami po kolędzie. Ja chodziłam z chłopakami po kolędzie, chociaż byłam dziewczynką. Gdzieniedzie na wsi ludziska byli porządni, to zaprosili kolędników do domu, na ciasto. A ja się wstydziłam. Nigdy nie weszłam. Bo ja miałam warkocze. Jakże? Dziewczyna? Nie pójdę z chłopakami po kolędzie, żeby baby wiedziały. Marzłam na polu, chowałam się za chaupe, a chłopaki poszły na herbatę i na placki. Ale raz mnie baba dojrzała i tak mi powiedziała, to mi wystarczyło:

– Kto to widział, żeby dziewczęcisko chodziło po kolędzie??!

No jak nie iść po kolędzie, kiedy trza było parę groszy zarobić? To my się potem dzielili przecież.

Ten ojca brat, co chodził z nami po kolędzie i grał na skrzypcach, to był stary kawaler i przez to był taki nie bardzo do rzeczy. Ale go namówiła taka jedna, też starsza kobiecina i sama była jedna, żeby się z nią ożenił. Chciała mieć kogoś przy sobie, żeby sama nie była. Więc się z nią ożenił. Ale to taki był niedorajda troszkę. Ona go ukapała na balii, potem złapała kota, upiekła na wesele! Jeszcze mi dziś pachnie ten kot, jak się piekł. Biedna była i nie miała mięsa, więc kot musiał wystarczyć. I poszła z nim do ślubu. Książdz się pyta: – Czy ty masz wolną i nieprzymuszoną wolę pojąć tę Julię za żonę? – Bo ona też była Julia.

A on taki niewydarzony i przygłupi mówi: – Biej ta bedzie!

No to odbył się ten ślub, potem żyje on z nią, żyje i mówi:

– Julciu! Jak mi tys skoda, zem ta choć na Wielkanocne Świąta nie wzion ślubu z tobą. Umre moze wnet, a tak se mało pozyjemy ze sobą.

I potem go jakieś czary opanowały. Jak jej nie było w domu, zaraz spódnice jej ubierał. Ona chodziła do Raciatego obsługiwać. Na środku rynku w Suchej była karczma i był Żyd, nazywał się Lewy, ale go ludzie nazywali „do Raciatego”, bo on miał ogromne nogi, takie racie. Więc chodziła go obsługiwać. W sobotę zawsze. I ten jej mąż, ktoś go z czarował, i jak tylko wyszła, to za piec wszedł, jej spódnice poubierał i siedział za tym piecem w jej spódnicy. Jak przyszła, znalazła go za piecem w spódnicy, zawsze go sprąła. Ale na nic to! Zawsze jak wyszła, on w jej spódnicy i za piec – no to wiedziała, że ktoś na czary to zrobił. A on mówił, że mu strasznie pachną jej spódnice i dlatego w nich siedział. No, zwyczajne czary. Ale później wziął i umarł. A ona za nim, bo już stara była. I skończyło się.

## **Jak zabili bestialsko Hetmańczyka-Amerykana**

Hetmańczyka nazywali Amerykanem dlatego, że był jakiś czas w Ameryce, ale niewiele tam zarobił i wrócił. W każdym razie został już na zawsze nazwany Amerykanem.

Amerykan miał dwóch pasierbów. Jeden był przy wojsku, czyli na wojnie, a drugi wujkiem moim był. A ten ich ojczym mieszkał wysoko! Między lasami. I wujka mojego matka, to była żona Hetmańczyka, czyli Amerykana. On był drugim mężem jej. I robił jej krzywdę wielką, bo miała duży majątek i chciał, żeby umarła. Bardzo miał ochotę ożenić się z dziwką, którą mieli do służby, taką do pola, do roboty. Więc bijał tę żonę, bijał. Wreszcie umarła.

Pasierby mieli złość na niego, bo z tą dziwą żył, chciał się z nią żenić, byłby cały majątek poszedł dla niej. Była to wojna. Tamta pierwsza. Ja byłam jeszcze dziewczynka. Patrząc raz, aż tu w górę idzie straszny naród! Jakby cała pielgrzymka ludzi. Dowiaduję się, że został zamordowany Amerykan, w bestialski sposób. Wszyscy poszli tam patrzeć. Dowiadujemy się, jak

to wszystko było, że przyszli w nocy żołnierze, zamaskowani. Służąca była w domu. Ta służąca chciała ucieknąć oknem, jak uwidziała, że weszli do izby i zaczęli go mordować. Nie pozwolili, boby zrobiła alarm jaki: – Nie uciekaj! Tobie nic nie zrobimy. Siedź w kuchni! – Została. Przesiedziała w kuchni. A oni: – Gdzie pieniądze??! – Nie chciał powiedzieć, ale w końcu musiał powiedzieć, bo widział, co zaczynają z nim robić. – Są w szufladzie.

Wyjęli pieniądze z woreczkiem ze szuflady, a jemu poobrzynali najpierw palce u rąk, później język, palce w nogach, tak że łóżko było od głowy wypchane i w dole wypchana nogami ta deska; z bólu. Tak go mordowali. Po kawałku. Dopiero na ostatku mu urzli głowę, przeźnęli brzuch i włożyli mu do brzucha głowę. No krwi było całe mieszkanie! Cały pokój! I uciekli z pieniędzmi, które zgubili w lesie. Woreczek się im w lesie zgubił. Jak przyszła policja z psami, to psy poszły do lasu i te pieniądze tam były. Oni nie mieli nic, tyle że go zamordowali. I za śladami psy szły z policją do pociągu, do stacji. No, urwał się ślad, bo oni wsiedli do pociągu. Pojechali.

Ten wojskowy pasierb stacjonował w Żywcu, to go zamkli, ale nie sprawdzili. Była wojna, on na wojnie, no to co hałasować o jednego starszego chłopca, jak tyle wojska ginie?... Nie będą dochodzić, czy Amerykana rzeczywiście zabił jakiś żołnierz. Każdy żołnierz jest potrzebny na froncie, a starego chłopca już i tak nie było. Tak że posiedział trochę i puścili go. Nie doświadczyli, że to on zrobił. W każdym razie on był rzeźnikiem, a sprawdzili, że to tylko rzeźnik mógł zrobić.

Potem on się żenił po wojnie, a ja mu za drużnę byłem. Temu mordercy. Nikt nie wiedział niby, ale wszyscy wiedzieli. Tylko już była cisza. Ożenił się z rzeźniczką. Mieli masarnię, no bo już był do tego przygotowany. No więc tak to się skończyło.

### **Knapikowa umarła zwyczajnie: we wychodku**

U Hanki Karaśki za jej panięskich czasów mieszkało kupę narodu, bo jeszcze oprócz matki i ojca, takiego starego łamagi, co przed śmiercią robił wszystko pod siebie, więc go kładli na gołej słomie i tam tak gnił, to mieszkała z nimi siostra matki Hanki, czyli Knapikowa i jej mąż: Knapik. On był okropnie złośliwy i chytry, ten Knapik. Zbierał jabłka po sadzie i chował je do takiej dziury w drzewie, a ja to wypatrzyłam i jak nikt nie widział, to mu wybierałam te jabłka, a on potem strasznie przeklinał, że kto mu jabłka wybrał...

Knapikowa zawsze na wiosnę otwarła swoje skrzynie i wietrzyła wszystko. Rozkładała po całym sadzie, bo miała pełno pięknych chustek, takich wełnianych; chustki ozdobne, z frędzlami, kremowe i różne, a wszystkie w kwiaty! I takie szerokie spódnice wełniane, też w kwiaty. Miała to z dziwki jeszcze. Więc po sadzie wieszala, po żerdziach. Potem znowu poskładała. Tak co roku wietrzyła to na wiosnę. Nie chodziła w tym, bo jej już nie pasowało. Ale by nie dała nikomu!

Jak Knapika nie było chwilę w domu, bo gdzieś ta poszedł, to sterczała przed chaupą, a jak go uwidziała, że idzie, to zaraz się zaczęła ślapicyć, ale tylko tak – hi! hi! – wydychała ze siebie i ani jedna łza jej z oka nie kapła, ino tak cieniutko „hichała”.

Knapikowa umarła we wychodku. Tam ją znaleźli nieżywą. Bo już była bardzo stara, to umarła byle gdzie.



## Skarby należy dobrze ukrywać

Matka próbuje „szarogęścić się” w naszym życiu. Wszystko chce wiedzieć i mieć wpływ na każde poczynanie. Przede wszystkim ważna jest sprawa naszych sympatii... Jeżeli nikt nie kręci się koło nas, matka wzdycha i wygląda na to, że rozpacz zaraz ją zwali z nóg – bo kto widział, żeby nie mieć koło siebie jakiegoś chłopca?!... Byle jakie babiska mają pięknych mężów, a moje dzieci, takie piękne, takie wykształcone i mądre, a są bez nikogo? – Z drwiną dogadujemy mamie: – I takie młode! – Matka udaje, że słuch jej nie dopisał w danej chwili. Nie ma ochoty wiedzieć nic na temat naszego wieku. Jeżeli przyprzemy ją do muru, nie dając się jej wykręcić i powtarzamy kilkakrotnie: – W naszym wieku nie możemy żądać, aby tabuny amantów ciągnęły za nami – matka stosuje chwyt specjalny: – Jak to? Uważacie, że jesteście już stare? W takim razie, co ja mam powiedzieć? To znaczy, że ja już dawno powinnam się przenieść na drugi świat, skoro moje dzieci są stare! – Wiadomo, wszelkie napomknięcia o przeniesieniu się naszej matki na drugi świat sprawiają, że nagle łagodniejemy. Nie życzymy sobie, aby się kiedykolwiek na jakiś inny niż ten świat, na którym jesteśmy, przeniosła. Matka także sobie tego nie życzy, chociaż stale przygotowuje się do tej wyprawy prawie tak sumiennie, jak do przyrządzania obiadu. Resztki z renty, jakieś tam niespodziewane „obrywki” z naszych dochodów, skrupulatnie chowa na tę nieuniknioną „podróż”, która „oby nigdy nie nastąpiła, ale przecież nie wiadomo, czy się dożyje następnych Świąt Bożego Narodzenia”... Kiedy odbiera rentę, zawsze żąda, aby listonosz wypłacił jej całkiem nowymi pieniędzmi. Nie mogą być zgięte ani pośrodku, ani na żadnym rożku. Mają wyglądać tak, jakby wyszły wprost z mennicy państwowej! Listonosze dobrze ją z tego znają i specjalnie dla niej zatrzymują takie wyprasowane pieniądze. To co dostaje od nas, niekiedy nie jest w pierwszorzędnym stanie, wówczas matka udaje się do banku i wymienia zużyte banknoty na całkiem nowe. Sztywne, nowiuteńkie banknoty wędrują do różowego jedwabnego gałganka (pozostałość po starym szlafroku), są dokładnie owinięte, gałganek spięty agrafką, paczuszka wsadzona do torebki kosmetycznej (kiedyś dostała ją od którejś z nas, ale szkoda było używać na kosmetyki, których matka prawie wcale nie ma), torebka kosmetyczna jest schowana w większej torebce ręcznej i to wszystko razem włożone pod stertę ręczników w szufladzie bielizniarki, do której klucz znajduje się w wazoniku stojącym na półce w szafce, a klucz od tejże półki jest schowany pod bielizną w innej szafie, z której znów klucz chowa się do torebki noszonej przy sobie. Stale matka nas informuje, „jak w razie czego, szukać tych pieniędzy”. Nie wiemy, ile ich ma i nie chcemy wiedzieć. To są przecież jej własne dziwactwa, do których ma prawo.

Jeżeli matka wybiera się w podróż do mnie, można mówić o prawdziwym kłopotcie, bo „jak to przewieźć, żeby złodziej się nie dowiedział i żeby ją nie okradło?” Ale przemyślność naszej matki nie ma granic. Żaden złodziej nie jest w stanie dobrać się do jej pieniędzy, chyba żeby zabrał je razem z nią. Matka już miesiąc przed planowaną podróżą zaczyna się pakować i przygotowuje. Najpierw więc należy sporządzić bezpieczny schowek dla tych małych pieniędzy, które jednak dla matki są majątkiem! Szyje z kretonu (w kwiatki) jakby wielką kieszeń, do tej kieszeni wszywa zamek błyskawiczny, kieszeń przyszywa do paska od pończoch, ale od wewnętrznej strony; „Ha! Ha! Gdyby kieszeń była na zewnątrz, co by to było dla złodzieja?... Tylko złapać i urwać!”

Kiedy kieszeń jest już przszyta, delikatnie wkłada się w nią te nowiutkie banknoty, zasuwuje zamek i jeszcze dodatkowo spina agrafką wszystko razem: pasek do pończoch z kieszenią. I jest już bezpiecznie. Oczywiście nie jest bezpiecznie na tyle, aby spokojnie spać w wagonie sypialnym; matka cały czas czuwa. Wszędzie jest pełno złodziei! Mogą ją odurzyć chloroformem i zabrać pieniądze... Wobec czego przez całe dwanaście godzin trwania podróży nie śpi. Rano pędzi do toalety na końcu wagonu sypialnego i sprawdza ręką, czy grubość kieszeni

nie zmniejszyła się. Nie zagląda do schowka, bo może właśnie w danej chwili złodziej wisi za szybą i śledzi ją?... Wysiada z pociągu zmordowana i spocona, leżenie w pasku, ze sterczącą agrafką nie jest wygodne.

Kiedy znajdzie się już u mnie w domu, dyskretnie wychodzę, aby matka mogła spokojnie przeliczyć „skarby” i schować znów gdzieś u mnie, gdzie „złodziej nie może ich znaleźć”, ale ja powinnam wiedzieć „na wypadek, gdyby”...

Będąc we własnym domu pieniądze przelicza codziennie. Zamyka się najpierw na klucz, dziurkę od klucza przysłania jakąś dosyć grubą szmatką (żeby nic nie przeświecało!), rozkłada je na tapczanie i liczy, mrucząc do siebie, oczywiście bardzo cichutko, aby nikt nie posłyszał. Musi mruczeć, wymieniać słownie sumę, bo inaczej mogłaby się pomylić. Zresztą i tak co jakiś czas, kiedy banknoty jej się niechcący skleją, wpada w popłoch, że „ją okradło”! Bywa tak, że niekiedy przy większych zarobkach posyłamy matce dodatkowo, poza miesięczną od nas pensją, jakieś sumy, aby przeznaczyła je na kupno czegoś, co jej sprawi przyjemność. Matka jednak skąpi dla siebie przyjemności. Odkłada te pieniądze osobno, żeby potem, po przyjeździe do mnie, móc je sprawiedliwie rozdzielić między mnie i siostrę. Bardzo ją cieszy, że może być hojna i „dopomóc trochę dzieciom”. Nie ma siły, która by ją zmusiła do naruszenia odłożonej sumy. Jeżeli jej zabraknie na życie, pożyczka u sąsiadów. Sąsiedzi bez słowa pożyczają, jako że wiadomo, iż jest absolutnie wypłacalna. Prawdopodobnie jednak nie mają najlepszego zdania o jej córkach, które przecież nieźle zarabiają, a ich matka musi pożyczać, bo jej nie starcza pieniędzy, aby dożyć do pierwszego. I to dziwactwo wybaczymy matce, chociaż jej zdaniem, nie jest to dziwactwo, tylko piekielna przebiegłość: „Lepiej niech każdy myśli, że ja nic nie mam!”

Mimo tych ostrożności bez przerwy dręczą ją niepokoje, czy aby bezpieczne są jej „skarby”? Niejeden raz budzi się przerażona nocą i biegnie do swojego schowka sprawdzić, bo właśnie miała zły sen, że złodziej wykradł jej wszystko! Uspokajamy ją, że to niemożliwe, że przecież jesteśmy razem i nikogo nie było w domu. Ale i tak słyszymy, jak chore serce matki mocno z przejęcia bije. Tłumaczymy: – Ty masz pojęcie, ile ludzie mają pieniędzy??! Gdyby się złodziej wybierał, to z pewnością nie do ciebie, lecz tam, gdzie wie, że się dobrze obłowi! – Matce to niewiele pomaga: przecież słyszała o wypadkach, kiedy kogoś zabito nawet dla dwustu złotych... Zgadza się i z tym, jak i ze wszystkim, co nam specjalnie nie przeszkadza żyć. Gorzej jednak, gdy dziwactwa naszej matki zaczynają zapuszczać korzenie w nasze najbardziej osobiste sprawy. A więc najpierw, czy też przede wszystkim w sprawy, które każdy chciałby mieć wyłącznie dla siebie. „Czy macie jakichś chłopców? Powinniście mieć!” Jeżeli nie mamy, jest bardzo źle. Jeśli znów mamy, przeważnie nie podobają się naszej matce. Każdy ma jakąś niewybaczalną wadę, której matka nie może ścierpieć. Ze względu na nas stara się tolerować nieodpowiedniego mężczyznę: „Skoro mojemu dziecku się podoba, mnie się też musi podobać. Ale przecież one warte nie takich mężczyzn!” Delikatnie próbuje nam podszeptować, co powinniśmy zrobić, aby nieidealnego mężczyznę przerobić w „czyste złoto”. Nie przyjmuje do wiadomości, że nie ma idealnych mężczyzn. Ona wie, że są, a w każdym razie można ich zmienić, byle tylko chcieć.

Żeby jej dać do zrozumienia, że nie powinna się wtrącać, przytaczamy przykłady koleżanek, do których spraw wtrącają się ich matki, zawsze niezadowolone z kandydatów, dzięki czemu niszczą osobiste życie swoich córek. Wówczas nasza matka niezmiernie oburzona wykrzykuje:

– Coś podobnego??! A cóż te matki obchodzi, jakich chłopów mają ich córki??! Chłopcy są dla córek, a nie dla matek. I po co to się wtrącać??! Ja bym je nauczyła! Ja bym im wszystko wygarnęła! Niech cicho siedzą za piecem! One już swoje przeżyły. Niech teraz dadzą życie swoim dzieciom! Dobrze, że ja nie jestem taka. Ja wiem, co moim dzieciom jest potrzebne...

Oczywiście, nasza matka jak zawsze wszystko wie najlepiej. Obecnie wie wszystko! Kiedyś, gdy była młoda, nie wiedziała. Żyła popełniając błędy, których obecnie nam by nie po-

zwoliła popełnić. Jednym z niewybaczalnych błędów jest alkohol spożywany w nadmiarze. Matka nie znosi stanów zamroczenia alkoholem, bo „wtedy każdy zachowuje się jak idyjota i wygląda jak idyjota! A poza tym to wstyd, żeby baba była pijana! To w żadnym wypadku nie powinno być!”

Nasza matka całkiem zapomniała, co jej się wydarzyło kiedyś... Ileś tam lat wstecz. Zapomniała, a przecież opowiedziała nam to ze szczegółami... Ale to było tak dawno, że nie warto nawet wspominać...

### **Chrzcziny u Salusiów, majtki w ręce i wystraszony chłop**

U Salusiów byłam kiedyś za kumoskę, bo znów Salusiowie byli kumami Lidusi. Mieszkali oni „za ławą”. Tak się to nazywało, bo to było za taką rzeczka, przez którą szła ława, czyli taki niby mostek. Jak była zawsze na wiosnę powódź, to tę ławę zniosło. Całkowicie! Ale wtedy powodzi nie było. Było lato.

Jestem więc u Salusiów za kumoskę, a tam było dużo jedzenia i picia przy tych chrzczinach. A chłopcy tylko patrzyły na mnie! Pożreć mnie chciały!... Tyś miała wtedy dwa miesiące. Ale dzieci wszystkie były w domu, a ja na zabawie u Salusiów. No i tak jest, że te chłopcy chytrze ino patrzą na mnie i przemyślują, jakby mnie tu upić... Dolały mi, dranie, do piwa wódki. No tom się tak spała, że nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Może bym nawet umarła, ale jakoś mi się udało nie umrzeć. W każdym razie jakieś tam baby porozbierały mnie, ułożyły w łóżku i natarły octem. To mi się zrobiło lepiej, zem nie umarła, ale za to usnęłam twardo. Oni się tam bawią, a ja śpię. Aż tu nagle, o drugiej w nocy, straszny huk się rozległ. Bo samolot spadł nad Lasem Cholernym i rozleciał się. Od tego huku obudziłam się. Patrzę, a tu noc, ja leżę rozebrana w łóżku u Salusiów, a dzieci małe w domu!... Byłam tylko w samej koszulce... To ja łap! majtki, buty, suknię, wszystko i hip! przez okno! Lecę! Przeleciałam ławę i na drogę! Prosto do domu. W stronę stacji, bo tam się wtedy mieszkało, już nie u mamy w górach. A szedł jakiś chłop... Pewnie do pociągu szedł w nocy. Patrzy... Bo się oglądnał za siebie, kto ta za nim leci, a tu baba, w samej tylko koszuli, wywija majtkami i strasznie leci! To ten chłop myślał, że jakaś waryjatka i jak się puści!... Jeszcze prędzej leciał niż ja! Uciekał przede mną. Więc ja... Jeszcze w głowie mi szumiało, to mi się to okropnie podobało i się na całe gardło śmieję, a chłop, ledwie żywy, tym bardziej ucieka. Jak już był blisko stacji, to się jeszcze oglądnał, przeżegnał się krzyżem świętym i wbiegł wystraszony do budynku. A ja się śmiałam bez przerwy i tak wpadłam do naszego domu. No tom porwała dziecko nakarmić, ale okropnie chciałam zobaczyć ten rozbity samolot. Nie dałam rady. Tak mi się głowa kiwała z pijaństwa i sił żadnych nie miałam. Tom tylko siadła z dzieckiem na progu domu i patrzyłam, jak cały naród tam ciągnął do Lasu Cholernego, żeby na ten samolot rozbity popatrzeć. Nic się tam nikomu nie stało. Musiał zawadzić skrzydłami o lasy i tak kołował, że spadł akurat na taką wielką łąkę pod Cholernym Lasem i tam sobie już wybuchnął, jak nikogo w środku nie było. Potem ci wszyscy państwo, co byli w samolocie, szli do Suchej, do karczmy, albo gdzie tam chcieli. Panie były eleganckie, w kapeluszach, w takich woalkach. Bardzo piękne było to wszystko. Szkoda tylko, zem się tak upiła, bobym ten samolot roztrzaskany mogła dobrze zobaczyć. A tak to pozbierali wszystko, co nieco chłopiska pokradły, co zdążyły, a ja musiałam leżeć w domu chora. Jak za dwa dni wstałam, to już nie było co oglądać. Przez wódkę straciłam najlepszą okazję. Przecież samolot wtedy zobaczyć, to było „rarity”, a cóż dopiero rozbity?!... Szkoda mówić!... No, ale stało się. Nie увидziałam takiej fajnej rzeczy.

## Urok dany przez naczelnika stacji

Na festyn zem poszła z wami. Naczelnik stacji siedzi za stołem, z panami i z kasjerem też. Ja idę, a Tugel też idzie. Razem maszerujemy i dzieci gromada. Naczelnik ino patrzy, że ja idę z Tugelem, no to przecież do niego nie polecą, do dzieci też nie, to tylko na mnie głowicką kiwnął i pokazał, że niesie flaszki: wino. A kasjer torty. Na talerzyku. I walą ku mnie, podszłam więc bliżej, bo przecież nie będzie Tugelowi dawał naczelnik. Bo on mnie dał do zrozumienia, że mam podejść. To tego winka się napiłam i naczelnik bierze tort... Sam wziął od kasjera i trzyma na talerzyku, żebym jadła tego torta, nawet przy tyłu narodach, na festynie!... Tyle miłości miał do mnie. To ja tego torta wzięłam i winka, podziękowałam i odeszłam, bo trza było iść ku dzieciom i ku chłopu.

I cholery dały uroku ciężkiego! Urzekli mnie! Do tego stopnia, zem chciała umrzeć... Zabrałam to wszystko, gromadę, do domu, bo mnie straszne wzięły nudy i boleści. I umrzeć! I umrzeć!...

Robiła mi urok pani Zajączkowska, taka co była akuszerką. Ona zażegnywała uroki i wszystko. To moja gospodyni widzi, że ja ledwo przyszedłam, łap! Po Zajączkowską! Bo zaraz było blisko, koło Porzyckiego. To Zajączkowska przyszła i mówi: – Straszny urok! Urok jak koń! – Wzięła trzy węgielki... zapaliła drewna kawałek, bo musiał być węgiel z drzewa... Połamała te węgielki i do wody, do szklanki. Kiedy węgielki idą na spód, to urok jak koń, a jak na wierzchu zostaną, to nie ma uroku... W tej chwili poszły na spód węgielki! Potem się bierze koszulę, nadółkiem, i tę wodę się precedzi przez koszulę. Precedziła przez koszulę węgielki, woda poszła czysta, a węgielki wytrzepała. Teraz ma się trzy razy napić tej wody. I po skroniach namoczyła, i po czole, i przeżegnała wszystko. Ale jeszcze zanim przyszła, to tak się bałam, że umrę, bo strasznie mnie głowa bolała, do zwariowania! Myślę „nie dam się śmierci wziąć”. Uciekłam. Ledwom się dowlekła do drzwi i uciekłam do pola. Wlekę się na czworakach, a tu akuszerka idzie! Jak zrobiła wszystko, zażegnała, z miejsca przeszło! Zdrowiusienka jestem!

Teraz nie wierzą w uroki, a to przecież jest prawda, bom sama doświadczyła. Przecież nie z tego wina stało się to wszystko, tylko zwyczajnie, z uroku...

## Matka jest zalotna

Chyba nie bez powodu, pół wieku wstecz, cała męska społeczność Suchej szalała za piękną Juleczką, czyli naszą matką. Myślę, że wówczas również była piekielną figlarką, bo nie przypuszczam, aby ta cecha dopiero z czasem się w niej ukształtowała. Może wtedy nie była jeszcze tak wyraźna jak teraz, ale musiało już w niej być coś, co ją odróżniało od innych dziewcząt, czy kobiet, co pociąga mężczyzn, zawsze skłonnych do skosztowania czegoś pikantniejszego niż mdła potrawa, choćby i z najlepszych zrobiona produktów.

Nasza matka ma głowę pełną „psich figli”. I chyba w tamtych czasach też tak było. Ciągłe jeszcze jest w niej zalotność. Jeżeli jej o tym mówimy, lekceważąco macha ręką i wydaje się być skrepowana. A my patrzymy (szeroko w zdumieniu rozwierając oczy), jak w pajęczą sieć wygasającego seksu jeszcze w tej chwili wplątują się, niekiedy, mężczyźni...

Podczas jednego z pobytów matki u mnie przyszedł pewnego razu listonosz z przesyłką. Nie miałam czasu zająć się nim, więc poprosiłam matkę, aby ją odebrała.

Listonosza, pocziwego mężczyznę w wieku około czterdziestu lat, znałam od dawna. Wymienialiśmy grzeczne słowa, czasem nawet żarty, przeważnie okolicznościowe, czyli do-

tyczące dostarczanych przesyłek. Zawsze był listonoszem, a ja adresatką. Chyba nigdy nie przyszło nam do głowy, że któreś z nas posiada jakąś pleć. I oto nagle... Przyrządzałam w kuchni obiad i spostrzegłam, że rozmowa mojej matki z listonoszem trwa chyba zbyt długo. Pomyślałam sobie, że może zaistniały jakieś nieścisłości dotyczące przesyłki, czyli należy wyjść z kuchni i dowiedzieć się, o co chodzi. Wysłałam i patrzę: listonosz stoi oparty o pakę z koksem i demonstruje przed matką kilka odmian uśmiechów, których nigdy u niego nie widziałam. Matka niby z obojętną miną gawędzi z nim o czymś, ale klimat tej pogawędki przy skrzyni z koksem był inny, niż przy zwykłej okazji odbierania przesyłki pocztowej. Zobaczywszy mnie, listonosz przybrał swój miły, ale urzędowy wyraz twarzy i natychmiast zniknął za drzwiami mieszkania.

– O czym ty z nim tak długo gadałaś? – zapytałam matkę.

– Och! Idyjota! Mówi, że się chce żenić. Pytał mnie, czy jestem wolna. Coś podobnego??! Akurat bym go chciała, z tymi zębiskami całymi oblepionymi białym serem! Alem mu tam bajdurzyła, com ta mogła. Niech się głuptak cieszy. Ja już teraz chłopisków nie cierpię... On się trochę zorientował, że może go nie będę chciała i powiedział, że ma kolegę, młodszego od siebie, i że jakbym chciała tego kolegę, to go przyprowadzi. Ale mnie tam żadne takie głupoty nie są w głowie.

Dziwne... Naszej matce takie głupoty nie były w głowie, dlaczego więc tym, którzy spotykali ją, podobne głupoty do głowy przychodziły?... Była już wystarczająco wiekową osobą, aby mężczyźni przestali spostrzegać w niej kobietę, jednak jakimś dziwnym trafem natrafialiśmy często na dowody, że jest inaczej...

Kiedyś miałam odebrać matkę na dworcu kolejowym w Sopocie. Jak zwykle (wiedziałam!) będzie miała siedem sztuk bagażu, należało więc ustawić się tak, aby natychmiast trafić na wagon, z którego będzie wysiadała.

Ochryplym i zniekształconym głosem zaszczekało jakieś dziewczę przez głośniki na peron, iż pociąg z Krakowa wjeżdża, wagony sypialne znajdują się na końcu pociągu. Oczywiście informacja, stosowanym u nas od lat zwyczajem, była mylna. Pomknęłam najpierw, co sił w nogach i w płucach, na oddalone tyły pociągu-gąsienicy, gdzie żadnych wagonów sypialnych nie było. Pociąg zatrzymuje się tylko minutę, więc dodając jeszcze gazu moim zmięczonym ze strachu nogom, popędziłam w odwrotnym kierunku. Z daleka, z otwartych okien, wiele ramion kiwało w moim kierunku. Słyszałam jakieś głosy, nie rozróżniałam słów, ale już wiedziałam, że matka znajduje się w pierwszym wagonie i tam właśnie mam się co rychlej udać. Jeżeli nie padłam natychmiast trupem ze strachu, to tylko dlatego, że musiałam zdążyć wskoczyć do pociągu, który już ruszał, ale zaraz zatrzymał się, aby mnie zabrać. Byłam pewna, że stało się jakieś nieszczęście. W bardzo krótkim czasie w moich myślach rozegrała się długa scena: Matka umierająca na serce! Obok tłum obcych twarzy, przyglądających się ciekawie, ale obojętnie. Matka czekająca, aby mnie jeszcze po raz ostatni ujrzeć! Biedactwo! Mimo ataku serca dotrwała aż do tej chwili! Musiała dotrzeć! Musiała przecież jeszcze mnie zobaczyć!... Słyszy się o takich rzeczach: ktoś umierając czeka, nieraz bardzo długo. Coś jest w organizmie człowieka, co potrafi nawet powstrzymać śmierć. Zamyka się oczy w chwili, kiedy dosięgnie się spojrzeniem tej długo oczekiwanej, ukochanej postaci...

Łzy lały mi się ciurkiem po twarzy. Zęby mi kłapały i natychmiast zaczęłam się trząść. Ale... Na miłość boską?! Co moja umierająca matka robi na korytarzu, w tłumie osób, w samej tylko koszuli, przysłonięta skrawkiem ręcznika??!

Zamachała do mnie wyciągniętą spod ręcznika ręką: – Tu jestem! Chodź prędko, bo nie mogę goła stać na korytarzu! – Głos miała całkiem raźny.

Przez moment myślałam, że to jakiś wariacki sen, bo niby co moja matka, i to rozebrana, robi tutaj, skoro miała wysiąść w Sopocie?

Przepchnęłam się przez tłum ludzi i obok konduktora, który miał dziwnie strapioną i niewyraźną minę.

Matka wciągnęła mnie w głąb przedziału. Zanim jej zdołałam, zasapana, zadać jakieś pytanie, już mi gorączkowo tłumaczyła:

– To przez tego durnia, konduktora! Powiedziałam mu wyraźnie, żeby mnie obudził w Tczewie, bo wysiadam w Sopocie i ten byk mnie nie obudził!

Byłam oburzona i gotowa natychmiast wytoczyć proces konduktorowi, PKP i wszystkim instytucjom, które zaniedbują swoich obowiązków.

Matka, dziwnie łagodna, radziła zaniechać sprawy. Ubierała się pośpiesznie. Kiedy wciągała suknię przez głowę, posłyszałam niewyraźne słowa: – Idyjota! Przecież ja mu tylko tak dla żartów obiecałam, że wysiądę z nim w Gdyni i pójdziemy na kawę. Gdzież ja bym szła na kawę z jakimś konduktorzyskiem?... Tak mu tylko nabajdurzyłam, bo mi za to dał osobny przedział, tylko dla mnie samej. Ale to głuptak! Nie wiem, co sobie ubzdurał? W nocy dobijał się do mnie, ale ja się na łańcuch zamknęłam. Nie byłam głupia! No to on pewnie myślał, że się w tej Gdyni spotkamy. Teraz przez niego taki kawał drogi trzeba będzie wracać!

Napięcie nerwów minęło, mogłam już więc wpaść we wściekłość:

– Nie rozumiem!!! Jak możesz się wdawać w jakieś flirty z konduktorami??! Nie rób niewinnych min! Bez powodu tak by się nie zachował! Przecież pociąg już ruszył, zanim z drugiego końca dobiegłam, i on powtórnie zatrzymał pociąg, abym mogła wsiąść! Tu coś nie jest tak, jak to niewinnie wygląda!

Matka miała minę męczennicy, którą niesprawiedliwy świat obrzuca kamieniami. Nie mając żadnych argumentów, które mogłyby ją usprawiedliwić, zastosowała podwójny chwyt: złości i umierania:

– Daj mi spokój! Serce mi się ledwie trzyma na ostatniej nitce, tak się zdenerwowałam! Lepiej mi się pomóż spakować, bo zaraz wysiadamy!

Konduktor zastukał do drzwi przedziału. W ręce trzymał matki bilet. Matka dała popis niewinności i oburzenia: – Przez pana będę musiała teraz wydawać pieniądze na taksówkę! Kto to widział, żeby pasażera nie obudzić, kiedy o to prosi??!

Konduktor próbował ratować swoją pozycję: – A ja przez panią musiałem zatrzymać pociąg! Jakby co do czego przyszło, to pani wie, ile to kosztuje??!... Pociągu nie wolno w żadnym wypadku zatrzymywać! Chyba że się coś stanie!

– Może mało się stało, przez pana??! – Matka rzuciła mu pogardliwe spojrzenie. – Dziecko mi się tak zdenerwowało, że nie wiem, co z nią będzie! Bezczelność! I narażać kogoś na wydatki... Musimy teraz wracać taksówką!

Konduktor nieśmiało wyciągnął rękę z dwoma stu złotowymi banknotami: – Proszę! Ja zwracam za ten przejazd taksówką z Gdyni do Sopotu.

Dojrzałam chytre spojrzenie matki. Tylko tego mi jeszcze było trzeba, aby wzięła pieniądze od konduktora! – Proszę schować pieniądze! – powiedziałam zimno. – I proszę łaskawie opuścić przedział. Chciałabym powynosić rzeczy.

Konduktor wyrwał mi z rąk wszystkie siedem pakunków i pogalopował do wyjścia. Kiedy pociąg się zatrzymał, otworzył przed nami drzwi, wytarł uchwyt przy drzwiach szmatką, wyniósł toboły i postawił je na peronie. Wyjąkał jakieś słowa przeprosin i chwilę patrzył smętnie za matką, która szła z dumnie podniesionym swoim małym noskiem.

W taksówce nie rozmawiałyśmy. Ciągle jeszcze byłam wściekła. Nasza matka natomiast już gotowa była żartować na temat minionych wydarzeń. Tylko jeden moment w tym wszystkim był dla niej przykry: że jednak nie pozwoliłam jej wziąć tych pieniędzy na taksówkę: – Jemu by się należała nauczka. Niby dlaczego mamy z własnej kieszeni płacić za to, że ktoś jest idyjota?

Nie odpowiedziałam. Płaciłyśmy nie za „idyjotę”, lecz za to coś, co w naszej matce ciągle jeszcze siedziało, a co zaczęło się od czasów, gdy jeszcze była „piękną Juleczką”.

## Hanka Taraśka. Janek stale chce się wieszać

Hania za moich panięskich czasów była moją koleżanką, a potem też jeszcze przyjaźniłyśmy się. To był waryjat, ale ją lubiłam, aż do jej śmierci.

Hanka tak wyglądała: włosy tam w tyle, bo czoło miała na pół metra, a nos na meter, aż poza brodę jej sięgał, i miała takie kurzawki... po trzy kudły jej sterczały z tych kurzawek, a brodę miała spiczastą i ponad tą brodą nos zakrzywiony, jak dziób! Ale była bogata, to się ożeniła. Ożenili ją przez swaty. Majątek był, wszystko do słoneczka, chaupa i majątek, a Janek był bardzo biedny z domu. Na tartaku pracował, biedaczek, a ładny chłopak! To pamiętam, przyprowadził go kumoter jakiś, bo prosiła matka Hanki, żeby też kogoś naswatać. Więc jestem u Hani, a tu przychodzi kumoś taki, co swatał. Hanka prawie miała drzewko... bo to tak w święta się swatało, no i Janek urywa sobie z drzewka karmelka, żeby zjeść, a tu węgiel w karmelku!... Węgle miała poowijane w bibułce... Urywa drugi: a tu suszona śliwka!

No ale trzeba się żenić, bo Janek biedny, to sobie myśli, że się będzie w innej kochał, a z Hanią się ożeni, bo tu chaupa, majątek, wszystko. Więc się Hania żeni. Mój welon pożyczylam jej do ślubu. Ona była starsza, ale przecież z tymi swatami ledwo co się dało zrobić, a mnie gówniarza już brali chłopaki. Na deka mnie chcieli rozebrać!

Janek mieszkał daleko na wsi, na Błondzonce. Wesele ma być, ojciec mój grał na weselu, jak zwykle, wszyscy idą, cała kapela idzie, no to ja też z Hanią, bo byłam za starościne. Idziemy po pana młodego, bo się tak chodziło tam. Do dziś dnia tak jest. Jak on się przyżeni do niej, to idą po niego... Walimy z muzyką! Taraś, jak zobaczył, że idzie Hania po niego, to uciekł na strych, wziął powróż i poszedł się wieszać, jak już uwidział ją, że dochodzi. Rozżalił się, bo muzyka grała pięknie, a tu on ma się żenić z Hanią... Ale druhna była tam, z jego chaupy i strasznie go prosiła, żeby się nie wieszał, bo się kochała w nim. Że się będzie kochać z nim dalej, ażeby tylko ten ślub wziął. I ta druhna go uratowała. Wzięła mu powróż z ręki, to się nie obwiesił. To się ożenił. Ale na weselu tańczył ze mną całą noc! Do rana! Z Hanią nie! Bo ona tylko umiała podskakiwać. Ale ona o mnie nie była zazdrosna, bo wiedziała, że jestem jej wierna i bardzo mnie lubiła. A ludziska już zaraz szemrali do jej matki:

– Konikowa! Popatrzcie się! Z tego zięcia nie będziecie mieli pociechy. Widzicie, co robi?... On se ta upatrzył. Wiedział kogo upatrzeć!

Ze mną hulał do rana, jak diabli!

Po weselu Janek tylko u nas. Na karty tak niby przychodził, bo się schodzili karciarze wszyscy chętnie, żeby na mnie patrzyli. To wszyscy do mojego chłopca mówią:

– Tugel! Taraś nie przychodzi tu na karty. On przychodzi, żeby na waszą żonę patrzył. Bo on nie patrzy w karty, tylko na nią cały czas patrzy.

I rzeczywiście tak było.

Potem Taraś ma dziecko. Ja za chrzestną matkę. Dobrze. Ale drugie dziecko jest, a on znów przychodzi po mnie! Ja mówię: – Nie mogę iść za chrzestną matkę, bo ludziska szemrają, że tylko ja. No ale muszę iść, bo inaczej nie będzie chrzczył dziecka. Poszłam.

Trzecie dziecko jest, ja za chrzestną matkę! Mówię: – Nie pójdę! Stanowczo!

Przyszła Hania i prosi: – Chodźcież, Tugelowa! Ja wiem, że on za wami jest, ale jak nie pójdziecie, powiedział, że dziecko wyrzuci przez okno do sadu!

Chrzciny się odbyły piękne! To była zima. Pączków ona nie umiała zrobić. On pączki smażył. Wyrobił ciasto, tak jak chłopisko mogło, tak że można było piłą rznąć! Kamień! Wyrabiał ze dwie godziny, na twardo. Na skrzyni takiej, co brudna była. Stolnicy nie było. Na skrzyni wyrobił te pączki, twarde jak kamień.

Teraz tak: trza dziecko zawijać do chrztu. Przyszła akuszerka, przyniosła różne ozdoby, jak to do chrztu, ale mówi: – Dajcie pieluchę!

A Hanka nie ma pieluchy. Otwiera skrzynię: – Psia krew! Co ja tu miała bielizny! Pierony łojce i matki, co ja tu bielizny miała! Jakbym wzięła cepy, to bym was tak zmlóciła cepami! Bo przez was nie mam bielizny w skrzyni!

A nic nie miała. Nigdy! No ale pielucha musi być!... A miała czerwoną chustkę na głowie, wełnianą, w takie kłosa, zboże. No to łap! tę chusteczkę i dała akuszerce, zamiast pieluchy. A potem, jak już po chrzcie dziecko odwinęli, to było całe czerwone, bo chustka puściła czerwoną farbę i odparzone było od tej chustki, bo to była taka ostra wefenka. Całe nóżki miało odparzone, biedactwo. Tak musiało iść do chrztu, w tej chusteczce w kłosa. To już było wtedy trzecie dziecko: Zosia.

Jak już było po chrzcinach, po wszystkim, to Zosię kołysał raz dziadek... To była taka łamaga straszna, ten dziadek. To tak kołysał ją prędko, ze złości, bo się darła, że aż kołyskę wyrócił do góry nogami, no to kręgosłup złamała i potem wyrósł jej garb. Miała takie krzywe ramię. Dziesięć lat miała, jak jeszcze żyła. To chłopczyska ją tłukły, bo ich było trzech. A nic tylko po tym garbie. To ona się żaliła Hance:

– Mamo! Tak mnie biją! Boli mnie to ramię...

A Hanka, była przecież waryjat straszny i złośnik, jeszcze ją dotłukła: – A niek cie biją! To po coś jest tako krzywo??! Niech cię nawet zatłuką! I tak żadnego pożytku z ciebie, bo cie nikt nie weźmie na babę z takim garbem!

Takie było głupie i niedobre to Hanczysko. Uplakało się dziecko, ale żeby ją pożałowała, albo co, mowy nie było. Nareszcie Zosia umiera... Już ją utłukli, ile mogli, a ona się przeziębowała, bo boso chodziła w zimie. No to Zosia umiera, a Hanka, łap! i jedzie do Żywca. Nikt nie wie, Hania kupiła bilet i do Żywca pojechała ze Suchej. Do księdza pojechała, żeby Mszę odprawił, żeby Zosia nie umarła. Bo w Suchej to było nieważne, bo był inny Pan Bóg.

Pomarańczy jej kupiła w Żywcu! A jak kupiła borówek, bo pierogi robiła z borówkami... grubymi skwarami polala te pierogi... to dzieciom kiedy prosiły o trochę borówek, ani mowy! Nie da nikomu! Tłukła wszystkich piętami, że borówki są na pierogi. Więc ja jej mówię:

– Haniu, a kiedyż to dziecko zje borówki? W zimie? Dajże im, a dokupisz se, bo pieniędzy masz dosyć. – Ale nie dała nic, tylko ich skłęła i wyszarpała za włosy. A wtedy to pojechała do Żywca i kupiła pomarańczy. Ale jak przyjechała z powrotem z Żywca z tymi pomarańczami, to Zosia już nie żyła.

Dzieciom nie dała tych pomarańczy, bo jej było żal.

### **Hanka! Gorki prózne!**

Zanim jeszcze Zosia umarła, to chłop Hanki pojechał do Francji, na roboty, bo jej już miał dość. Najpierw to cały czas chodził do nas i nic, tylko żeby go oknem puszczała w nocy. W dzień się wstydził, bo gospodyni stale u mnie siedziała, bo w drugich drzwiach mieszkała. Chciał, żeby go puściła w nocy, jak Tugel był w służbie. A mieszkałam w starej chaupinie, drewnianej... Przed samym dworcem niziutki, drewniany domek... To on z podwórka na okno pukał: – Kumosia puść mnie!

Nie puściłam.

To on: – Powiesz sie! – pokazał sznurek i gałąź za oknem, jabłoni. – Powiesz sie na tej jabłoni!

A tu się lampka świeci, naftowa, bo tak się wtedy świeciło. Knocik przykręcony... Musiało się świecić, jak to przy dzieciach, przy małych. To ja buch! na kolana i na „czołgu”, otwierałam po cichutku drzwi i przeczółgałam się do gospodyni: – Pani gospodyni! Chodź pani! Ratuj pani, bo Janek będzie mi się wieszał pod oknem!



To gospodyni wyszła na podwórko i odegnała Tarasia, żeby się pod oknem nie powiesił. Niech się wiesz, gdzie chce, ale nie pod oknem. To on poszedł na peron i jeszcze tej samej nocy pojechał do Francji i już go Hanka długo nie widziała.

Ale jeszcze najpierw, zanim on do tej Francji pojechał, to Hanka raz robiła pierogi z różami... U nas się często robiło takie pierogi, bo róży było pełno przed domem, a moje siostry były kucharki dobre i umiały takie pierogi robić; utarły różę na taką konfiturkę i zrobiły pierożki. To Hania pyta mnie się jednego razu:

– Coście dzisiaj na obiad mieli?

– My robili pierogi z różami.

No to się Hani spodobało. Na drugi dzień ja przychodzę do Hani, a Hania mnie częstuje pierogami: – Jakby ci smakowały pierogi z różami? Ja też zrobiłam...

To ja jem, ale widzę, że te pierogi coś strasznie płaskie! Przegryzam, a w środku jest ten pączek jeszcze żółty, co róża ma na nim płatki. I róża cała!

– A jak ty te pierogi robiłaś, Haniu?

– No jak miałam robić? Nacięłam róży i włożyłam po jednej. A wyście po ile dawali?

– No my skubali i ucierali.

A ona całe róże powsadzała!!! A jeszcze jak ona inne rzeczy gotowała: nagotowała zawsze... bo to było gospodarstwo duże, to nie mieli czasu, więc w lecie tak gotowali: garnek krup, garnek kapusty i garnek ziemniaków i coś tam jeszcze – cztery garnki jadła. Wszystko w szabaśnik wsadzili i siedziało tam ze dwa dni. A dzieciśka dużo jadły. Przychodziły z pola, pojadły i te garnki znów do szabaśnika wepchały. Nareszcie jak skończyło się jedzenia nie ma, to matka Hanki drze się: – Hanka! Gorki próżne!

To znów trzeba było nagotować cztery garnki i wepchać do szabaśnika, żeby znowu było na parę dni. Skisiałe mogło być, obojętne, ale musiało być w szabaśniku...

Hanka zawsze chodziła ze swoim chłopem do knajpy. Dumna była, że siedzi przy nim. No to Taraś fundnie piwo kolegom... On był bardzo towarzyski... To żonie też piwo. Wszyscy piją piwo po troszku, a Hanka – łap! Cały kufel! Choćby i zimne było, choćby jakie, to do końca! A potem kuflem buchła w ladę i pięścią przytłukła. Taraś widzi, że Hania już piwa nie ma, a oni wszyscy jeszcze mają, to znowu jej piwo kazał, bo myślał, że była spragniona. Więc Hania znowu piwo – duldu, duldu – do dna! I znów kuflem i pięścią po ladzie prasła, bo się już opila. Wstydział się strasznie, to już wołał do domu iść.

Nic dziwnego, że wołał do Francji uciec, niż na takiego ćmoka patrzeć...

### **Po trzy beretki na głowie i podróż do Paryża**

Janek był dziesięć lat we Francji. Myślał, że może Hania się zmieniła, może wyładniała... Zapomniał, jak wyglądała. Napisał do niej list: „Kochana Andziu! Żonko Moja. Przyjedź do Francji!” Zosi już nie było, matka stara też umarła, to Hania zamkła chaupę i pojechała do niego. Co ino było w chaupie, to zabrała. Dzieci też, trzech chłopaków. Parę beretek w domu było, to im dała po trzy na głowę. Ja się pytam:

– Po co im tyle beretek?

– No bo jak zedną jedną, to drugą będą mieć.

Na spodzie były najlepsze, a na wierzchu najgorsze, żeby się te lepsze nie zniszczyły szybko.

Przyjechali do Krakowa i do hotelu poszli spać. Bo to mieli w piśmie tak wypisane, że się im hotel należy do podróży i opieka. Więc ich taki portier odprowadzał do pociągu. I dzieciśka się pogubiły po Krakowie, bo to już były duże dzieciśka, to nie będą przy niej siedziały.

Jak się darła! Bo tu do pociągu trzeba iść, a dzieciaków nie ma! Ale jakoś się potem znalazły; policjant przyprowadził jednego, drugiego... Dowlekły się.

Już w pociągu siedzi, ja ją odprowadzałam i ona do mnie mówi:

– Julciu! Idze tys mi kup pońcochy jakie! Nogi mom gołe... I kup mi kielbasy, bo mom kawałek cieleńcia, ale nie wiem, cy sie mi tys tymcasem nie zepsuje.

Okopciła kawałek cieleńcia, tak w piekarskim piecu, że był tylko trochę okopciały. I takie to wiozła w szmatach! W brudnych! A teraz kielbasy!... No to ja gonię, szukam... Kielbasę kupiłam w kiosku, przy dworcu. Kilo tylko kazała kupić. Dzieci chciały jeść, ale nie dała: – A nie zezrycie mi kielbasy, bo co łojcu zawieze do Francycji??!

Ale nim zajechali, to nie wiem, co im dała? Chyba tę cieleńcinę okopciała. No i pojechała do tej Francji.

Jak zajechała, to Janek się jej przelał, bo była jeszcze brzydsza. Zaprowadził ją pierwsze do fryzjerki, kazał jej włosy obciąć i zrobić ondulację i żeby jej fryzjerka grzywkę zrobiła, żeby jej tego czoła nie było widać. I zaraz kapelusz jej kupił. Chodziła w kapeluszu! Pełno tych kapeluszy nakupiła.

Potem była wojna. Taraś poszedł do obozu, bo był w konspiracji, jeden syn też, drugi się ukrywał w Paryżu, żeby go nie złapali. Ten co był w Paryżu od razu po wojnie wrócił do Polski i zaraz się ożenił. Janek w obozie zginął, jeden syn został we Francji, a ona potem wróciła z jeszcze jednym synem. Wróciła w tych kapeluszach. Pełną skrzynię miała kapeluszy. Jeden miała taki pilśniowy, co się wstażki wlekły aż na jej plecy. Jak szła w Suchej w tym kapeluszu, to wszystkie dzieci leciały za nią, pociągały ją za te wstażki w tyle.

### **Hania pragnie zobaczyć trzy duchy – równocześnie**

Hania, jak była jeszcze panną, to kochała się w jednym Gieniu. Ten Gienio przychodził do niej, ale przecież nie będzie się żenił, bo to był ładny chłopiec. Ale matka Hani piekła placki z serem, bardzo dobre, a on był taki wyzyskiwacz. I Hanka całe kosze najpiękniejszych jabłek nosiła do niego, bo myślała, że się będzie żenił. A Genio ożenił się w Krakowie. Ale Hania nie przestała się w nim nigdy kochać. Jak przyjeżdżała do Krakowa, to zawsze musiałam iść po Gienia do żony, żeby przyszedł do mnie na chwilę, żeby się z nim widziała, choć dwa słowa chciała z nim przemówić.

A jeszcze w Suchej bardzo pięknie grywał na harmonii, i ona się przez to bardziej w nim kochała. Ale w okupację Gienio umarł w Krakowie.

Hania była bardzo kochliwa. Kochała się nie tylko w Gieniu, ale też w „Jasnym Stasiu”, Kyś się nazywał. I ona bardzo chciała zdobyć tego Stasia. Nietoperza złapała, bo słyszała, że na czary dobry jest nietoperz, obcięła mu łapki i włożyła go do młynka, co się zboże miele. Tam trzymała go przykrytego szmatami, bo jak ten nietoperz jeszcze żyje, to trzeba jego łapką poskrobać kawalera po ramieniu, to będzie za nią gonił. A jej syn mały kochał się w jednej Żydóweczce, co tam do nich chodziła, to ukradł Hance łapkę nietoperza, bo słyszał, co matka mówiła, i tę Żydówkę poskrobał. I potem powiedział matce: – Mamo! Żebyś wiedziała, jak ta Salka za mną goni! Bom ją poskrobał!

A Salka goniła za nim, bo mu chciała wyrwać jabłka.

Ale Hani nic z tego skrobania nie wyszło. Z „Jasnym Stasiem” się nie udało, potem próbowała poskrobać Piotrką, ale mu koszulę potargała na ramionach, bo go tak fest przyciskała tą łapką. A on się kochał we mnie, to się nie będzie kochał w Hance, więc ten nietoperz nic nie pomógł.

Po wojnie Hania wróciła z Francji. Janek już nie żył, Genio nie żył, nikt już nie żył z tych jej ukochanych. A mój brat przyjechał raz do mnie i opowiada, jak to umie duchy wywoływać i z nimi rozmawiać. Więc ja to kiedyś opowiedziałam Hani, a Hania jak się ucieszy! – O jej! Juleczko! Daj mi znać telegraficznie, jak tylko przyjedzie twój brat! Ja zaraz przyjadę, bobym chciała, żeby mi wywołał ducha Janka i Gienia, i „Jasnego Stasia”. Ciekawam co by mi też powiedzieli, jakby się tak zeszli razem?...

No ale jej nie dałam znać, jak przyjechał brat, i nie widziała tych duchów.

Jak już wróciła do Polski, to stała siedziała w Suchej i robiła przy gospodarstwie. W jesieni kopała ziemniaki w koszuli nocnej. Miała taką flanelową koszulę, w pajacyki. Kopała w niej. Było jej wygodnie, że nie musi rano zdejmować koszuli ani na noc znów jej ubierać. Hania przychodzi wieczór z pola w koszuli, a ja tam nieraz pojechałam, więc widzę to i mówię:

– Haniu, a jakże ty w tej koszuli idziesz do łóżka, skoro ty w niej kopiesz?

– Ano bo to już mom wygodę, bo się nie muszę przebierać.

– A nogi nie umyłaś na noc?

– Nogi się mi zaś zabrudzą, jak będę kopała...

Miała po nieboszczyku takie długie kałesony, do kostek... Jest jesień, jest zimno, no to ona w tych kałesonach kopie. Stoi, ja patrzę, a tu się jej po nogach leje! Cedzi się po nogach! Więc mówię:

– Haniu! Ady ci się leje po nogach! Co ty robisz! Przecież będziesz miała mokre nogi!

– A gdzie ta mokre? Wiatr jest, to mi wysuszy. Do wieczora wyschną.

Jak już miała przeszło pięćdziesiąt lat, to ja jej mówię:

– Haniu, ty nic nie masz siwych włosów!

A Hania się zezłościła: – Siwe włosy to tylko mają stare baby! I brzydkie. Ja, jak tak miałam szesnaście lat, to się sama sobie podobałam.

Ja myślę, że Hania tylko sama sobie mogła się podobać, nikomu innemu, bo przecież głowę miała jak cap, a nogi jak rożki. Słowo daję! Jeżeli kto kiedy miał w rękach dwa rożki, to miał nogi Hani! Ale Hania i tak do śmierci nie zrezygnowała z kochania. Kiedyś, już była całkiem stara, przyłapałam ją, jak patrzyła w kawałek ubitego lusterka. Miała bardzo wniebowziętą minę. Zagadnęłam ją, co ona tak wypatruje w tym lusterku, a wtedy Hania mi powiedziała:

– Jak kiedyś jeszcze będę miała chłopca, to z nim nie pójdę do ołtarza, ino se tak przykleśniemy i przed lusterkiem powiemy Panu Bogu, że będziemy mężem i żoną.

Nie ma już Hani. Ale to lusterko może gdzieś się jeszcze w śmieciach poniewiera...

## **Każdą prawdę powinno się ulepszyć**

Matka przedstawia świat, który ją otacza, w sobie tylko właściwy sposób. Ona nie tylko ostrzej widzi tym jednym „dobrym” okiem, ona ostrzej wszystko odczuwa. Złe i dobre, i śmieszne, wszystko jest wyostrzone, a w relacjach przesadzone, czasem nawet bez umiaru. Gdy matka ma bowiem dobrych słuchaczy, potrafi się zagalopować. Kiedyś nasza wspólna przyjaciółka Krysią, którą nazywamy Biduła (od pewnego znakomitego programu kabaretu Wąsowskiego i Przybory) zapytała matkę:

– Matko, czy kiedy opowiadasz, nie mogłabyś raz powiedzieć prawdy, ale takiej czystej, bez żadnych dodatków?

– Nigdy – odpowiedziała nasza matka – nawet księdzu na spowiedzi! Jak się czegoś nie doda i nie okraśli, to nie byłoby czego słuchać.

Matka ma rację. Opisuując coś, daje nam swój własny obraz świata. Tworzy osobistą, niepiśmiętą literaturę. Wszystko jest tak barwne i tak wyraziste, że Bidula, chociaż nie zna żadnej z osób, o których matka opowiada, mogłaby je rozpoznać natychmiast, gdyby kogoś zobaczyła. Tak jak my z siostrą, a raczej tylko ja, bo siostra słucha nie dość uważnie. Bidula zna na pamięć każde wydarzenie, nawet z najbardziej zamierzchłych lat, ale nigdy jej to nie wystarcza. Zwłaszcza kiedy bierze się do prasowania, co wiadomo, będzie trwało całe pół dnia, wyciąga naszą matkę do swojego mieszkania i każe jej mówić. Bidula zna wszystkie nasze babki i ciotki, jakby były jej własnymi babkami i ciotkami, w przeciwieństwie do mojej siostry, której zdarza się pomylić jedną babkę z drugą. Matkę to doprowadza do wściekłości. Uważa, że nie warto jej nic mówić. I tak wszystko pomyli! A Bidula potrafi nawet odegrać każdą scenę, potrafi pokazać, jak to Pykuśka kukała spoza drzwi i wyglądała na drogę, mamrocząc pod nosem: „Kto tysta idzie? Gdzie tysta idzie? Do kogo tysta idzie? I po co tysta idzie?”... Bidula znając wszystko, zna również historię naszej babki na Kurowie...

### **Babka Weronka na Kurowie**

Tużel był z Kurowa. I jego matka też, czyli wasza babka Weronka. Mieszkał tam u niej Jozuś i Staszek. Synowie po dwóch córkach. To tego Jozusia bardzo kochała, po jednej córce, a była niesprawiedliwa, więc tego drugiego, po drugiej córce nie lubiła. Nazywała go Smok Jadowity. To temu po pierwszej córce upiekła placek, dała jajko do niego, wymieszała z mąką i upiekła Jozusiowi na maśle placek, na patelni. A Stasiowi, po drugiej córce, już go tak nie kochała, zrobiła ze ziemniaków placek, taki wielki i cienki. Tak się trzepał ten placek... To on sobie go przypasał paskiem do portek i szedł do szkoły z tym plackiem. Dziesięć kilometrów szło się stamtąd do szkoły. I Staś ino się przyglądał, jak Jozuś miał placek na jajku, żółty, z mąką.

Babka Weronka jak pieniądze uskładała, bo jajka sprzedawała, masło, kokoszki, wszystko, to składała pieniądze, a Jozuś jej co jakiś czas przeliczał. Nikomu innemu nie wierzyła, tylko Jozusiowi! No to Jozuś liczył: tu jej dał dziesięć złotych, a dziesięć do kieszeni. Ona dobrze nie wiedziała, bo była już stara. Do książki od nabożeństwa składała, żeby się jej wyprostowało.

Potem jej syn był chory, to znaczy mój chłop. Na suchoty był chory. W Suchej zachorował, to trzeba mu było iść na wieś leżeć, do matki, bo nie mieliśmy tak dużo miejsca; małeśmy mieli wtedy mieszkancko. Leżał tam na wsi, trzy miesiące, aż się wyleczył. To chce jeść dobrze, żeby przyjść do zdrowia, a matka: – Ni ma jajek! Ni ma kury! Wszystkie niesą! Nie bede zabijać! To ja musiałam w Suchej kupować jajka i kury, żeby mu przywozić i dawać jeść.

A jak wyszedł na strych, jak mu lepiej było... bo on wiedział, że matka ma jajka... To tam było całe gniazdo jajek! Jarmark był co dwa tygodnie, a jak nie miała czasu iść, bo trzeba było jechać do Suchej, to się naskładało gniazdo jaj na tym strychu! A jemu mówiła, że nie ma.

A jej córka jedna, co tam mieszkała w pobliżu niej, przyjeżdżała też do Suchej na jarmark i u mnie zawsze spała. Przywoziła masło, jajka, kurczaki. Ona długo lubiła gadać. Jeszcze przyjeżdżała nieraz z chłopem; chłop był pijak, lubił pić w nocy gorzałę, kurzyć, nie uspokoił się, ino gadanie było do rana. Potem rano idą na jarmark. Ja mówię tak:

– Bratowa, to mi tu zostawcie... Ja kupię kurczaka, masło i jajek z pół kopy. Bo nie mam czasu iść na jarmark od małych dzieci.

– O nie, bratowicko! Tu ci nic nie sprzedam, bo nie wiem, jako będzie cena na jarmarku? Musisz se przyjść na jarmark, to ci tam sprzedam, jako cena tam będzie.

Ale spała i pojadła z nim, i to na każdy jarmark przyjeżdżała spać do mnie. A jeszcze jej syn, ten co był przy wojsku, zawsze na niedzielę przyjeżdżał z wojska, z Wadowic i zawsze u nas spał. To raz przywiózł węzeł kiszek, kielbas, żeby dać panu wojskowemu, co go puścił na niedzielę. Tak mówił:

– Swinie my zabili ogromną! Tyle kielbasy mamy! Kiszek! Wszystkiego!...

Ale nie przyniósł ani jednej kielbaseczki nigdy. Ino tyle co opowiedział, co to oni mają. Takie były chamy.

Ja kiedyś mówię do jego matki: – Bratowa, to ja przyjadę do was kiedy...

A ona mówi: – O! Bratowicko! Teraz tys nie! Aże będziemy mieli inną chaupę, bo teraz mamy stare budynki. Jak będziemy nowe budować, to cie zaprosze.

No ale mnie do dziś dnia nie zaprosiła. A miodu miała tak dużo, co przywoziła plastry takie, też do sprzedania i we flaszkach miód, ale nigdy nic, ani deka by nie dała niczego!

A jej chłop, kował był, to spał za piecem. Jak ktoś przyszedł do domu, to go nie było, ino za piecem, bo nie miał ani koszuli, ani gaci na sobie. Goły był. W łachmanach chodzili, a bogacze byli straszne!

Nie mogłam tego wszystkiego ścierpieć i powiedziałam Tugelowi, że trzeba się przez nich wyprowadzić. Żeby już nie chodzili do nas sypiać. Uciekli my przed nimi daleko, aż za ławę. Ale nas i tak odnaleźli i znów się zwlekli tam sypiać. Tośmy wrócili na stare miejsce, bo bliżej było do kolei.

Jeszcze dzisiaj mnie diabli biorą, kiedy sobie to wszystko przypomnę.

### **Przekleństwo z powodu koralu. Diabły łańcuchami dzwonią!**

Strasznie dużo złego narodu było za dawnych czasów na wsi. Ja miałam ciotkę, Bekaskę, z Żarnówki. Wole miała takie, do brzucha!

I majątek się należał mojemu ojcu. Połowę. To ta ciotka z Żarnówki nic mu nie daje. Wreszcie ojciec mówi tak:

– Dzieci mi podrosły. Potrzebuję pieniędzy.

A ciotka: – Ja ci dałam, bracisku, pieniędzy!

– Nie dałaś mi, siostrze, tego spłatu! Co opowiadasz?! Daj mi teraz spłat!

Ale nie dała. To ją zaskarżył do sądu. Kazał, żeby przysięgła, że dała. I ona przysięgła. On też przysięgał, że pieniędzy nie dostał.

Wyszła ze sądu i płakała. Płakał ojciec. I tak oba płakali. A ona za te pieniądze kupiła sobie korale, wielkie jak ziemniaki! Trzy wiązki! Na to takie długie kupiła, żeby jej te wole zakryły.

Ciotka Bekaska miała wóz i konia. Jeździła na każdy jarmark do Sucheju... Ze Żarnówki przez Maków się jedzie... Syna miała jednego, Piotrusia... Może ją Pan Bóg skarał, albo co, bo ten Piotruś zawsze w grządkach leżał, przy ziemniakach, w szmacie, to mu się nóżki nie wyprostowały i miał takie nóżki jak rożki, takie same jak Hanka Taraśka.

Więc ona miała te korale. Jedzie do Sucheju na jarmark albo do kościoła... A koń byt mądry, oglądał się zawsze i jak widział, że ona ma korale, to jechał. Nareszcie raz zapomniała ich, a koń się popatrzył, że ona bez koralu i nie pojedzie! Nie ruszył koń z miejsca, bo ona koralu nie miała na szyi! Akurat jakiegoś chłopca wzięła na wóz, co chciał jechać do Sucheju. Chłop siadł przy niej, a ona widzi, że koń nie pojedzie, to jej się nie chciało schodzić z wozu i mówi do chłopca:

– Skoczcie mi do chaupy po korale. Piotruś wam da.

– A gdzie są korale?

– W skrzyni.

Wystarczyła złodziejowi ta wiadomość. Przyniósł korale. Pojechali. Ale później ona idzie do pola robić, chaupa drewniana, byle jak zamknięta... Przyszedł ten chłop i korale jej zginęły. A to ją Pan Bóg skarał, że przysięgła fałszywie. Bo korale były za ten spląt, co ojcu nie dała. Ojciec jej powiedział, że ją kara boska nie minie.

Nareszcie ciotka umiera i wie, że pójdzie do piekła, bo przysięgła fałszywie i kupiła sobie korale za krzywdę ojca swojego. Ze strachu zapisała cały majątek księdzu, żeby się modlił za nią, żeby nie poszła do piekła. A synowi nie zapisała nic! On się i tak ożenił i nie zależało mu, bo dostał po żonie majątek. Ale mu było przykro.

Ksiądz zamknął chaupinę i nie interesował się nią. A Piotruś co przyjdzie, to słyszy, ludzie się żalą, że co wieczór diabły dookoła chaupy gonią i łańcuchami trzęsą. Diabły goniły! Bo tam było przecież przekleństwo! Ojciec ją przeklął.

Ksiądz chodzi, święci, kropi święconą wodą, a diabły dalej gonią koło chaupy. Tak ksiądz poszedł do Piotrusia i mówi, że mu daje ten majątek, żeby se wziął, bo się tak a tak dzieje... Ale Piotruś nie chciał tego przeklętego majątku.

Nie wiem, jak tam teraz jest, czy są jeszcze te diabły, czy nie? Wszyscy już pomarli, krzywda się zestarzała, to może już diabły poszły stamtąd?...

### **Na „Księżym polu”**

Kiedy jeszcze chodziłam do szkoły, to miałam za koleżankę taką jedną Wikcię. A u nas w sadzie, w kamieniach był wąż, co miał koronę na głowie. Król węzów! Raz idę z Wikcią ze szkoły i mówię: – Wikciu! Jaki piękny wąż! – A Wikcia wystraszona krzyczy: – Uciekaj! Ile sił masz! Bo to jest król węzów! Jakby on zaskrzeczał, to się wszystkie węże zlecą i zagryzą nas!

Nie dogonił nas ten wąż, bośmy uciekły.

Potem już nie chodziłam do szkoły i Wikcia też nie, bo musiała odrabiać na księżym polu. Krowa się pasła na pastwisku księdza, to trzeba było za to odrabiać. Dużo ludzi robiło na księżym polu. No, jak przyszli na cały dzień, to musieli dostać jeść, bo biedni ludzie tam robili. To im gospodyni księża przyniosła we dzbanku kawę i kromkę chleba na pole. Na obiad chodzili na plebanię, do stajni. W stajni, co były krowy i konie, to taka była ława i na tym dostali jedzenie. Kucali przy ławie i jedli w tej stajni.

W zimie trzeba było mieć sieczkę, taką maszyną. Ręce przymarzały do żelaza... I za darmo to było wszystko. Ksiądz przychodził, w bobrowym futerku i pilnował, i poganiał, żeby prędzej robili.

Przy tej co doła krowy, druga baba stała, żeby ta co doi, nie napiła się mleka i nie dała się napić tym biedakom. Śmietaną jedna zbierała z mleka, a druga pilnowała, żeby ta co zbiera, nie zjadła z łyżki śmietany. No, tak to było u księży i tak jest do dzisiaj...

### **Kochankowie z Podksięża**

Na Podksiężu wszystkie baby miały kochanków. Ale chłopcy się z tego cieszyły, że mają takie ładne baby, że je inne chłopcy chcą. No a już największy kochanek, to był Zosi Ciapa. Ciapa ożenił się z Zembrzycanką, bardzo brzydką dziwką od Żyda, ze służącą. Bo ona miała pieniądze. Ale on i tak kochał się w Zosi dalej, do końca życia. Po wojnie handlował kurami. Sprzedawał kury, a babę do waryjatów dał. Cieszył się, że jak baba umrze, to się ożeni ze Zosią. Ale jak baba jego wyszła od waryjatów, to on znów umarł. Nagle w sklepie umarł, przy kurach.

Ciapa był cały łysy, a oczy miał takie w środku, głęboko w głowie, że jakby mu tam z tyłu kłapnęły dziurki, to by oczy przeszły na drugą stronę i tą drugą stroną z tyłu by lepiej widział. Bo miał głębiej oczy w głowie, aniżeli na wierzchu. Zosia się w nim kochała, bo jej to odpowiadało. Odpowiadały jej te oczy, bo były zalotne.

Zęba miał jednego, od góry, a półtora miał z dołu. I chodził do Zosi jeść. Obiady se fundował. Zosia jak widzi, że Ciapa idzie już z dołu, z potoka, spod Siwca, to łap! prędko do zagonów, do cudzych, bo swoich nie miała. Łap! buraki z naci, ze dwa se urwała i ziemniaków parę, otrzepała z ziemi, prędko obrała do garnka. Buraki przekroiła tylko, bo buraki nie musiały się długo gotować, bo choć twarde były, to mu ich nie dawała, tylko tej wody czerwonej spod buraków. Ziemniaki młode się w mig ugotowały, no i już Ciapa je ziemniaki z tą czerwoną wodą. Troszkę łożu baraniego dała na wierzch. Ale Ciapie wszystko smakowało, co Zosia ugotowała.

U Zosi herbata się gotowała tydzień! Blasznany czajnik siedział na piecu z tydzień, pełny, aż woda pleśniała. Kiedy potrzebowała, to sobie nalała; nie musiała stale parzyć nowej herbaty, bo miała tę spleśniałą. Jak ja tam przyjeżdżałam, to sobie wodę wozila we flaszcze, bo się brzydziłam wody z ich źródelka, i osobno dla siebie parzyłam. Zawsze przywiozłam ze sobą coś: słoniny, żeberka, gorzałki, bo trzeba było poczęstować wszystkich. Wszystkich zwołałam z góry, ze wsi, na poczęstowanie.

Przywiozłam słoninę, to Zosia mówi:

– Ciapa! Pokrój słoninę! Będziemy co maścić. Ale umyj se ręce!

Bo Ciapa miał zawsze ręce brudne, czarne. Nie mył nigdy. No to w czym umyje?... Balia jest pełna pieluch, takich z kupami, po dziecku... Moczyły się z dnia na dzień. Jak jej potrzeba było, to wzięła za koniec, wypłukała, bo wody nie było, do potoka trza było iść po odrobinę, a do źródelka, jak trzeba było wody do jedzenia, no to ją szanowała. Pieluchy się moczyły, aż się same wyprały, a potem tak to odleciało od nich wszystko i już suszyła. To Ciapa w tym te ręce myje. Rozmazał całe i szmaciskiem brudnym wytarł to. No i krajał tę słoninę, a strasznie mu się drzemało, bo był pijany. Siedzi przy tym piecu, a słoninę topił na elektryce, bo już wtedy elektrykę mieli. To mówi Zośka: – Pilnuj słoniny, żeby się nie spaliła! – A Zośka, jak zwykle lubiła leżeć, to poszła se legnąć. – Pilnuj – woła z izby – bo jak się spali, to ci po mordzie dam!

– Pilnuję! Nie śpię! Ja nie śpię! – Ale jednak usnął.

Ja poszłam też do izby, do Zosi, a tu czujemy: śmierdzi! Taki czad idzie z kuchni do nas. No to jak mu miała nie dać po mordzie, kiedy mu obiecała...

Spalił całą słoninę! Pełną patelnię!

A ja, jeszcze zanim słonina zaczęła się topić, a on już spał, to sobie pomyślałam, że mu zrobię na złość: wzięłam sznurek i przywiązałam mu nogę do ucha popielnika. Takich mi się psich figli zachciało. Potem mi go było żal, bo popiół był gorący, a Ciapa, jak słonina zaczęła śmierdzieć, jak skoczył!... To ten popielnik wypadł i gorący popiół wysypał mu się na nogi. Tu się kurzy spalona słonina, a tu popiół trzeba zbierać, to co ja miałam robić?... Ze strachu uciekłam do Taraški, aż przyszłam za godzinę, jak już posprząkali wszystko.

Oni mieli elektrykę już dawno, niedługo po wojnie im założyli, ale wodę do domu dostali dopiero co, bo z wodą to nie tak łatwo zrobić.

Elektryka idzie aż het! Do Hetmańczyka! Do Zawoi! Wszędzie! Chodzili z elektryką i każdemu robili. Tylko jedna baba nie dała sobie zrobić, bo to straszna chytruska była. Przy lampie wołała ślęceć i tak przy lampie zmarło się jej. Na wsi było dużo ciemnego narodu. Jak babka z Kurowa do nas przyjechała, do Krakowa, to powiedziała:

– Wy macie tak we wychodku piknie, jak jo w izbie!

Bo my papierami kolorowymi pooblepiali wychodek, to myślała, że w izbie ona tak nie ma...

## Babie mowę całkiem odjęło!

Koło chaupy Wikci rośnie takie wielkie drzewo, co się nazywa buk. To tam nazywają do dziś dnia „do Buka”. Wszyscy! Całe osiedle „do Buka”. A kto stamtąd idzie, to „idzie Bukol” albo „idzie Bukolka”. Bukol był kapuś. Do dziś dnia się go strasznie boją, choć umarł. Bo on był kapuś, co okropnie ludzi sypał. Jak ktoś coś powiedział, już był w areszcie. I Bukol lubił ukraść... Zośka mieszkała koło drogi. Miała zęby sztuczne, a nie umiała używać ich. To je dała pod powałę, do koszyczka i wisiały tam na gwoździu. Ona w domu ich nie nosiła, tylko jak szła na jarmark. Miała wnuczka przy sobie, a on miał kolegów, to bała się, że jej będą te zęby ruszali. Zosia chodziła na jarmark co dwa tygodnie, pomagać Ciapie sprzedawać kury, to wtedy zęby brała. Kiedyś poszła do Lolki, do swojej przyjaciółki, co mieszkała tak daleko, aż za źródółkiem, w górze i zostawiła tam zęby. Poszła w zębach, ale je u Lolki zdjęła, bo ją głowa od nich zaczęła boleć. Na drugi dzień ma iść na jarmark, a tu zębów nie ma! – O psia treść! – mówi. – Jak pójde na jarmark bez zębów? Gąba jak dupa. – Na drugi dzień poszła po te zęby i powiesiła w koszyczku. A dzieci widziały, gdzie wieszka. No to jak wyszła, z chaupy i chodziła za czymś tam po polu, to chłopcy tymczasem przystawili stół, krzeselko na stół, wzięli jej te zęby spod powały i zabrali się do roboty. Podzielili się. Jeden mówi: – Moja mama nie ma zębów, ja jej wezmę. – Wziął jedną szczękę, a drugi kamieniem rozbił drugą, bo jego mama też nie ma zębów na przodzie, to jej da połowę, a drugą połowę wziął, że da babce.

Jest niedziela, Zośka chce iść do kościoła: – Psia treść! A kto mi zęby wziął??! – Zagląda do koszyczka, a zębów nie ma.

– Babciu, Franek wziął, zaniósł swojej mamie, bo mama nie miała zębów. A zaś ten drugi rozbił połówkę kamieniem, i Jasiak wziął połowę, i Antek połowę, swojej babce.

Zosia kombinuje, jakby tu zarobić na nowe zęby, więc zaczęła pranie brać Ciapy, bo może Ciapa jej dopomoże co do tych zębów... Wyprała i powiesiła na noc przed chaupą na sznurach, bo kto by ta pranie kradł... A w dzień nie miała kiedy prac. Poszli spać. A szedł Bukol, ten co był przed wojną kapusiem. Idzie w nocy i spodobały mu się koszule Ciapy.

Zosia miała przed domem dziurę wykopaną, na studnię. Myśleli, że będą mieć studnię, ale woda nie napłynęła. Położyli deski na tym, żeby dzieci nie wpadały... To Bukol idzie, widzi tyle prania! Wyzbierał koszule, które ładniejsze. Ale ktoś idzie z dołu. Słyszy kroki. Podniósł te deski i buch! skoczył tam, skrył się z tymi koszulami. Ludzie przechodzą, on nie widzi nikogo, bo pod deskami. Chłop przeszedł głośno w butach, to on myślał, że już nie ma nikogo, a baba boso szła, dalej za chłopem, jak to baba. To Bukol podniósł te deski i wychodzi. A baba. jak nie skoczy! Jak nie zacznie się drzeć i uciekać!... Że duch wychodzi z dziury.

To Bukol nie chciał, żeby się wszyscy pobudzili u Zośki i już te koszule zostawił w dziurze i prędko wyszedł, jak tylko baba przeleciała. Poszedł za tą babą i za chłopem. Chłop się oglądął przed swoim domem, widzi Bukola i mówi:

– Wejdźcie do nos, bo baba nie może słowa wypowiedzieć, bo ją zatkało. Od strachu mowę straciła.

Baba się nie odzywała nic! Chwyciło jej mowę ze strachu. Do domu weszła. Bukol za nią. I baba odzyskała mowę w domu, bo już się nie bała. Zaczęła się sumintować, że na własne oczy ducha widziała. Bukol udawał, że jej nie wierzy, ale baba się przysięgła:

– Sumiennie! Zebym jutra nie docekała, że wyszedł duch! Głową podniósł deski i jescie miał na głowie całkiem biało!

Bukol wiedział, że to była koszula Ciapy, co ma się zatrzymała na głowie, ale ją potem zdjął. On to wszystko, w wielkiej tajemnicy, opowiedział jednej Bukolce, co się w niej kochał, a Bukolka po cichu tu i tam rozgadała, no i rozniosło się. Nikt nic Bukolowi nie zrobił, bo się go bali i nic się przecież nie stało. Tyle tylko, że tej babie, co widziała ducha, jak się kiedy czym przestraszy, to jej już zawsze na chwilę odbiera mowę.



## Matka mówi do trąbki

Myśli naszej matki kotłują się i nie mogą się przypasować do siebie. Minęło pół wieku, wszystko jest inne niż w czasach jej młodości. Młodość była piękna, ponieważ była właśnie młodością, a tu znów co krok natrafia na coś, co ją zagarnia, fascynuje, a nawet każe wierzyć, że to też jakieś czary jak w tamtych minionych czasach, ale inne, bo nowoczesne. Kiedy stawiam przed nią magnetofon, aby nagrać jej opowiadania, wie o co chodzi, a jednak po nagraniu, gdy puszcza taśmę, aby przesłuchać materiał, matka tłucze pięścią po stole, uszczęśliwiona, i z niedowierzaniem mówi:

– To niemożliwe, żebym ja to mówiła! To jakaś inna baba mówi! Tylko skąd ona to wszystko wiedziała, co ja wiem?... Okropnie lubię słuchać, jak wiejskie baby mówią różne głupoty. Ale żebym to ja mówiła, to niemożliwe!... I że też ta trąbka tak wszystko wylapała?

Matkę śmieszy, kiedy słyszy jakieś słowa wypowiedziane, w jej intencji, na marginesie, na przykład: „bo to okropne wsioki były i chamy!” Uważa, że te komentarze były tylko dla nas przeznaczone, a nie do nagrania, czyli mikrofon, a w określeniu naszej matki „trąbka”, nie powinien tego „złapać”.

Kiedy jest w dobrym nastroju, mówi:

– Weź ten swój patefon i przegraj mi to o Ciapie!

Puszczam więc taśmę z opowiadaniem o Ciapie, a matka zatacza się po kuchni ze śmiechu, czasem aż piszczy z radości, wreszcie stwierdza, że już dość bo nie może obiadu gotować, ani nic innego robić, kiedy tego słucha. Wierzy i nie wierzy. Bo z jednej strony, wszystko tak naprawdę było, a z drugiej strony wydaje jej się niemożliwe, żeby to, co było, zostało na zawsze utrwalone w „patefonie” i żeby mogła tego słuchać, kiedy się jej podoba. A więc dom nasz jest konglomeratem nowoczesności oraz, czasów „głupiej Kaśki, Michałka z rybim oczkiem, Babki Weronki na Kurowie” i wszystkiego tego, po czym pozostał już proch i co istnieje tylko w pamięci naszej matki.

Kiedy rano nastawiamy radio i słuchamy jakichś tęsknych starych melodii, matka mówi:

– Tę melodię znam. Zawsze ją przegrywał Jaś Bucała. Dostał kiedyś od księdza taki wielki gramofon z tubą i całą skrzynią płyt przeróżnych. Księdzu się już ten gramofon znudził i dał tam za coś Jasiowi Bucale, to jak on go przyniósł, to postawił na oknie i przez tę trąbę tak głośno grał, że mało góry nie popękały! Wszyscyśmy wychodzili przed chaupę i słuchali...

Zawsze o dziewiątej rano nadają w radiu te stare melodie. Jeśli matka jest jeszcze w łazience, śpieszy się bardzo z myciem, zadyszana wpada do pokoju, żeby przekręcić gałkę radia: – Już dziewiąta, a wy nic nie mówicie! Przecież zaraz będzie grał Jaś Bucała!

I znów się wymieszał czas Jasia Bucały z terażniejszym.

Przy nagrywaniu na magnetofon matka stara się zachować pełną dyscyplinę; wiadomo, że ja zadaję pytania, a matka odpowiada. Kiedy już zacznie mówić, przestaje zwracać uwagę na mnie i zagłębia się całkiem we wspomnieniach. Niekiedy jednak nagle coś jej się przypomnia, co nie było w temacie danego opowiadania, wówczas zwraca się do mnie niecierpliwie:

– Zapytaj mnie, co było z siostrą Pykuśki!

Matce wydaje się, że jeżeli nie zadam pytania, wówczas to co sama powie, może zostać nie nagrane. Kiedy indziej znów opowieść bardzo zabawna, która w swoim czasie przytoczona wydawała mi się materiałem na spore opowiadanie, dla matki nagle przestaje być ważna i na pytanie zadane przeze mnie: – Jak to było z tą kozą, która na jarmarku wybiła chłopu rogiem oko? – odpowiada krótko:

– Jak było! Zwyczajnie! Chłop na jarmarku kupował kozę, to mu rogiem wybiła oko, bo zajął jej w zęby, czy stara, ile ma zębów i jakie, czy ma do dentysty z nią iść... Przy mnie w szpitalu leżała baba, co jej krowa wybiła rogiem oko, jak dawała jej jeść. Do dzisiaj takie rzeczy są.

Naszej matce nie chce się opowiadać o kozie, próbuję więc innego tematu: – A z Kozianówną? Jak to było?

Temat z Kozianówną też nie chwyta. Matka lekceważąco macha ręką:

– Nic nie było z Kozianówną. Kozianówna to była taka dziewczyna, która chodziła ze mną do haftu. Poszła raz do sklepu i kazała sobie dać cukierków za pół centa, ale dobrych i dużo!... A pół centa to było wtedy... jakby powiedzieć... No, najmniejszy gulden!

– Najmniejszy pieniądz – poprawiam matkę.

– Tak, tak. Najmniejszy pieniądz – zgadza się ze mną i nie chce nic więcej na temat Kozianówny mówić. Być może sprawy kozy na jarmarku i Kozianówny błędą wobec doznań, które były mocniejsze, w danym bowiem czasie miały niesłychane znaczenie dla matki.

– Ja chcę mówić o tym, jakeśmy we wojnę, w pierwszą oczywiście, pojechały z moją kuzynką Wilą i siostrą Helą do Krakowa po żywność!

– No więc mów.

### **Lody, szampan i ciasne sznurowane trzewiki**

Głód był straszny na wsi we wojnę. Nie było czym obsiać pola, to skąd potem było brać zboża na chleb?... A o jakim mięsie, to już nie było mowy! Jak to na wojnie... Narodu wtedy pomarło strasznie dużo, na czerwonkę, na cholere... Przecież Las Cholerny dlatego tak się nazywa, że tam chowali tych, co na cholere pomarli. Tych z czerwonką chowali na normalnym cmentarzu i takich z tyfusem. Moja kuzynka Wila, śliczna była dziewczyna, najpierw jeszcze żyła, ale potem też umarło jej się na tyfus. I jeszcze troje dzieci jej matki, też.

No to trzeba się skądś postarać o jakie jedzenie... Nic tylko trzeba jechać do wielkiego miasta, do Krakowa, bo tam ludzie handlują jedzeniem... Umyślili u nas w domu i u innych sąsiadów, że wyślą kogoś do Krakowa. Zbiorą pieniądze i dla wszystkich się kupi po trochu. Ale nie ma kto jechać! Nie pojedą przecież stare baby ani chłopcy stare, a wszystko co młode było na wojnie. Chłopaków małych nie posła, boby jeszcze pieniądze gdzie pogubili albo by ich okradło. No to uradzili, że pojedą dziewczyny. Wybrali takie najuczciwsze i najmocniejsze. To miałam ja jechać, choć jeszcze byłam gówniarzem, alem wyglądała na więcej lat, niż miałam, i wybrali jeszcze moją siostrę Helę i kuzynkę Wilę. Tośmy trzy pojechały. Dali nam worki na chleb, na kaszę, na mąkę i na co się da. Ja sobie pożyczyłam od mojej siostry Józki butki, bo miała nowiutkie. Takie butki sznurowane do kolan. Ale ona miała mniejszą nogę niż ja i okropnie gniotły mnie te butki. Nie zważałam na to, bo się cieszyłam, że jadę do Krakowa. Nigdy w mieście nie byłam, ino tyle com zawsze patrzyła hen! za góry, bo wiedziałam, że tam gdzieś jest wielkie miasto. Jadę ja więc do Krakowa, w nowiutkich trzewikach, w spodniczce granatowej, biała bluzka z koronką przy szyi, tak w kwadrat było wycięte, ten dekolcik, gorsecik zasznurowany na mnie, wszystko jak trza. A warkocz się wlecze aż poza kolana.

W Krakowie my wysiadły na dworcu i nie wiemy, co dalej robić, tak my zgłupiały! Taki dworzec wielki! Wszędzie eleganckie panie i panowie! Patrzyli ta na nas, ale tak może tylko z ciekawości? Może te warkoczki długie, cośmy je wszystkie miały, takie im się wydały dziwne... Ale nadeszło trzech wojskowych. Jeden piękny, jak lalka! Wszystko wyprostowane, w mundurach, oficerowie... Popatrzyli na nas, coś poszeptali i wałą ku nam! Ten najładniejszy zaraz zagadnął:

– Panienki pewnie nietutejsze? Może panienki życzą sobie zwiedzić miasto, to pokażemy?...

Żadna się nic nie odezwała, bośmy nie wiedziały, co mówić. Ale oni nie zważali na to, tylko każdy wziął jedną pod rękę i idziemy. Ze mną szedł ten najładniejszy.

No to my zaraz chciały zwariować, jak my zobaczyły ten Kraków! Domy takie wysokie i wszędzie kościoły! Ja się raz po razie żegnałam przed każdym kościołem, a ten mój to się tylko uśmiechał pod wąsikiem.

Zaprowadzili nas na planty; bardzo piękny ogród taki, tyle że żadnych drzew z owocami tam nie było, potem na Rynek... Narodu!!! Jak na odpuszcie, albo i więcej! No i do kawiarni proszą. My nic dalej nie mówimy, oni idą w takie miejsce z parasolami...

Tam były stoliki i krzesła... Odsuwają te krzesła i nas sadzają. Potem się pytają, co my sobie życzymy, ale myśmy nie wiedziały. To zamówili ciastka, lody i szampana. Ciastkaśmy zjadły, ale do lodów nikt się nie bierze, bo przecież żadna z nas nie wie, jak się to je. Pierwszy raz w życiu widziałam lody! To ten mój musiał się wszystkiego domyśleć, bo wziął łyżeczkę i sam mnie karmił tymi lodami, a tamci się uśmiechali do siebie i też zaczęli karmić Wilę i moją siostrę Helę. Byłabym wypluła, bo okropnie było zimne, ale się wstydziłam i tak spożyłabym, żeby tylko przędziej. To potem zaczęli otwierać tego szampana. Ja aż skoczyłam od stołu, jak to wystrzeliło, bom myślała, że się znowu wojna tutaj rozpoczęła i ktoś strzela. No to potem, jak tego szampana nalali, tośmy piły razem z nimi. Dobry był ten szampan. Ale jak teraz piję szampana, to mi bardziej smakuje, a wtedy jeszcze się na tym nie znałam, tyle że był słodki i że tak szumiął, to mi się podobało. Jakżeśmy troszkę wypily, to jakoś byłyśmy odważniejsze i zaczęłyśmy z nimi gwarzyć. Wila powiedziała, skąd jesteśmy i po co przyjechałyśmy. A oni na to:

– Coś podobnego??! Taki szmat drogi! I panienki chcą jeszcze dzisiaj wracać??! To niemożliwe! Trzeba odpocząć po podróży! Zamówimy pokoje w hotelu, wszystkie koszty pokryjemy i panienki się prześpią, a jutro pojedą.

Ja się nawet cieszyłam, bo mnie okropnie te buty Józine gniotły, ale Hela, która była najstarsza, coś musiała zmiarkować, bo nic, tylko się uparła, że musimy kupić, co trzeba i wracać. Oni ani słyszeć o tym nie chcieli i znów zamówili jeszcze jednego szampana. Jak znowu trochę wypilyśmy, to ja już byłam całkiem odważna... Ten piękny pan oficer kręcił mojego warkocza, tak wkoło swojej ręki, a ja zdjęłam trzewiki, bo powiedziałam, że tak mnie cisną, że już dłużej nie wytrzymam.

Panowie oficerowie zrobili jakieś niewyraźne miny i ten mój powiedział, żebym wzięła buty i że on mnie dorożką zawiezie do hotelu, to tam będę mogła te buty ściągnąć i nogi mi wypoczną. Hela się nie chciała zgodzić, ale oni już zawołali dorożki, zapłacili kelnerowi i zaczęli nas do tych dorożek popychać. Wila z Helą i tamtymi dwoma siedziały w jednej dorożce, a ja z moim osobno w drugiej.

Wozili nas po całym mieście! Wreszcie jest hotel i oni z nami do hotelu... Stanęli przy takiej ladzie i z jednym tam panem, co za tą ladą siedział, coś szeptają, a Hela mówi:

– Jak tu jeszcze będziemy chwilę, to się z nami stanie coś strasznego! Oni nie mają dobrych zamiarów! Trzeba uciekać!

Takem się złąła, bom myślała, że pewnie oni nas chcą zamordować z powodu tych pieniędzy, co je mamy na kupno jedzenia, zem nie patrzyła już na to, że mnie nogi bołą, tylko wypaliłam w pole, a za mną Wila i moja siostra Hela. Uciekałyśmy strasznie! Na oślep! Nie wiem, czy oni nas gonili, czy nie, ale i tak by nas nie dogonili, bo narodu na ulicach było pełno, tośmy się im zaraz z oczu zgubiły. Jużeśmy nie szukały żadnego jedzenia, tylkośmy się spytały jednej starej baby, gdzie może być następna stacja w stronę Suchej i tam żeśmy pieszo poszły.

Trzeba było iść kawał drogi; do Płaszowa. A ja w tych ciasnych butach, com sobie w nich otarła nogi aż do krwi. Tamżeśmy wsiadły, żeby nas ci mordercy nie szukali na stacji w

Krakowie. Moja siostra Hela tak umyśliła. I rzeczywiście, nie znaleźli nas. Długo trzeba było czekać na pociąg. Cały dzień. A my o głodzie. Ale za to żywe!

We wsi oddaliśmy pieniądze i powiedziałyśmy, że nic w Krakowie nie ma do jedzenia. Uwierzyli. Już potem nikogo więcej nie posyłali.

Ja się tylko siostrze Józi przyznałam, jak to naprawdę było, bo bardzo Józię lubiłam. I powiedziałam jej, że ja kiedyś muszę mieszkać w Krakowie! Nie przestałam myśleć o Krakowie od tamtego czasu. No i potem się spełniło, bo się musiało spełnić! Nie ma takiej rzeczy, której by człowiek nie mógł dokonać, jeżeli tego bardzo chce.

### **Panie naczelniku! Ja muszę mieszkać w Krakowie!**

Naczelnik stacji i kasjer kochali się we mnie bardzo i gonili za mną. Kasjer wypłacał na kolei pensję przy okienku. Ja chodziłam po tę pensję.

Naczelnik z kasjerem szli jednego razu na spacer, przez te pola, na górkę, aż pod Zośkę. A ja idę, oni widzą mnie, bo przechodzę koło nich. Pytają mnie, gdzie idę?

– Do mamy – bo szłam przynieść sobie ziemniaczki, mleko i tam takie byle co do jedzenia. Oni chcieli iść ze mną, ale ja mówię, że nie trzeba, bo się muszę śpieszyć. A oni obydwaj po-malutku szli, bo mieli obaj brzuszki. Ja idę szybko, oni mnie chcą dogonić, bo widzą, że chaupy się skończyły, zaczęły się pola, to chcą mnie dolecieć. A ja, jak się puszcę przez ży-to! Żyto wysokie, nie mogli lecieć za mną, a ja przeleciałam całe żyto i już buchłam najpierw do Zośki, a potem do mamy na drugą stronę potoka.

W każdym razie z tym kochaniem to oni nie ustawiali.

Poszłam jednego razu i mówię: – Panie naczelniku, chciałabym bardzo, żebym mieszkała w Krakowie. Bo jak dzieci dorosną, pójdą do szkoły, chciałabym, żeby się kształciły w mie-ście.

No to mówi naczelnik tak: – Jakby przyszedł Tugel czy kto inny, to bym nikomu tego nie dał. Ale dla Juleczki!... Na drugi tydzień daję wagon i przeniesienie do Krakowa!

Napisał list do dyrekcji i tak przeniesienie przyszło w tej chwili.

Jesteśmy już w Krakowie. Spełniły się moje marzenia. Miałam wtedy ponad dwadzieścia lat. Nie byłam już taka głupia, jak w Suchej. Trochę zmądrzałam, ale nie na tyle, co teraz. Teraz każdy może być mądry z radia i z telewizji. Wtedy tego wszystkiego nie było. Nawet radia nie było w domu, bo przecież Tugel by nie dał. Skąpił na wszystko. Gdzie by ta jakie radio pozwolił kupić? Tylko wielkie państwo miało radia. Tak że w domu nie było nawet żadnej muzyki. A ja lubiłam muzykę. Uczyłam się grać na gitarze i na bałajce, bo po ojcu miałam te zdolności, tyle że się nie douczyłam do końca. Uczyła mnie jedna taka przyjaciół-ka, bardzo „popaniata”. Ona i jej mąż byli strasznie eleganckimi ludźmi, chociaż źle skoń-czyli. On był w urzędzie jakimś wysokim urzędnikiem, no to jak każdy w urzędzie brał łą-pówki. A ona, jak się na niego wściekła, bo była strasznie zazdrosna, to poszła do tego urzędu i wysypała go, tak że go zaraz zwolnili z pracy. On się tak tym przejął i zawstydził, że zabrał swoje auto, bo mieli własne, i uciekł do Zakopanego, i tam był za taksówkarza z tym swoim autem. A w wojnę, tę drugą, poszedł do wojska i gdzieś się stracił. Ktoś potem mówił, że go widział w Londynie i że on tam się ożenił z inną, chociaż ze swoją żoną nie miał rozwodu, ale wtedy robili takie rzeczy. No to ona całkiem zeszła na psy! Najpierw chodziła z karabinem, bo była za stróża nocnego przy jakichś składach. Ona umiała strzelać, bo dawniej jeździła z mężem na polowania, jak to państwo, lubią się zabawić byle czym. Zabijanie zwierząt to była dla nich też zabawa, bo już im się wszystko inne znudziło. Potem ona była konduktorką w tramwaju i strasznie się rozpiła. W nocy, po służbie, pijali te tramwajarska w remizie i ona

z nimi. Czasem przyszła do nas pijana i zwała się do paki z węglem i tak tam spała. Rano budzi się i drze się: „gdzie jest? Pewnie w więzieniu”, bo widzi brudną pakę i tylko sufit nad sobą. I przeklina, że „za co ją zamknęli, bo nic przecież złego nie zrobiła...”

Z tego picia to takie jej wory urosły pod oczami, że wisiały aż na policzki. I już ani jednego zęba nie miała. Strasznie się wstydziła, że jest taka paskudna, bo dawniej była piękna, tak że aż przestała do nas przychodzić. Całe szczęście! Bo ja takich pijaczek nie potrafię ścierpieć. Ale to wszystko było dopiero później. Najpierw byłam w Krakowie i byłam bardzo szczęśliwa z tego powodu. Zaczęłam się nosić „z pańska”; kapelusze, śliczne sukienki... Wszystko można było dostać gotowe w sklepach. No to wyglądałam już jak krakowianka. I nic dziwnego, że wszystkie chłopcy za mną wariowały. Długo to trwało. Bardzo długo!...

## **Dziwny dom i dziwni ludzie**

Matka przeżyła okres swojej dojrzałej młodości i jeszcze późniejszy w domu, który wydawał się być niepodobnym do innych. Prawdopodobnie jest więcej takich domów z ich niesamowitymi mieszkańcami, ten jednak wciąż żyje we wspomnieniach naszej matki i ona to, w nie kończącym się monologu, pisze powieść o swoim życiu, a więc również o ludziach, którzy żyli obok niej.

Dosyć wcześnie zaczęła chorować na astmę i na serce, w związku z czym częściej przebywała w domu, biorąc aktywny udział we wszystkich intrygach jednej z tych starych krakowskich kamienic. Zawsze z uporem twierdziła, że „nic ją nie obchodzi, co się dzieje w kamienicy”, obchodziło ją jednak wszystko. Kiedy rozlegały się jakieś wrzaski na schodach, rzucała najpilniejszą pracę i z uchem przy drzwiach nasłuchiwała, o co rzecz poszła. Z kilkoma kobietami żyła w przyjaźni, z innymi nawet nie wymieniała ukłonu. Zresztą przyjaźnie były stanem przejściowym; zdarzało się, że po jakiejś intrydze czy obmowach zaprzyjaźniona osoba zostawała odsunięta na jakiś czas i dopiero po przysięgach i dowodach wierności przywracała ją matka do łask. Trzeba było wielu starań, aby przebłagać matkę. Co prawda niecierpliwie czekała, kiedy aktualny nieprzyjaciel padnie przed nią na kolana, bo chociaż była obrażona i zła, ale chętnie otaczała się ludźmi. Mimo zapewnień, iż „z tą już na zawsze koniec! Nie odezwę się do niej nigdy!” wiadomo było, że matka złagodnieje i byle tylko dostarczono jej dobrego pretekstu, gotowa z powrotem przyjąć grono kobiet, które się jej naraziły.

Kiedy wytykaliśmy jej niestałość w uczuciach, nie była zadowolona. Nie lubiła, kiedy ją poddawano krytyce. Wyjaśniała z niewinną miną, że pogodziła się dlatego tylko, żeby móc nam opowiadać o tych zwariowanych babach, czego nie mogłaby robić, gdyby nadal była z nimi skłócona.

### **Mamo! Żebyś wiedziała, jaka nafta jest zdrowa!**

Golikowa chodziła do mnie ze swoją córką, Zosią. Bardzo lubiły do mnie chodzić. Jak przyszły po południu, to do dwunastej w nocy leżały w poprzek tapczanu i nie mogły się ode mnie wybrać. To com mogła, to im dałam. Wreszcie prosiły troszkę soku malinowego, bo one

nigdy nie robiły. To ja mówię: – Przynieście sobie dwie flaszeczki kwaterekowe, dam wam do nich soku. – Poleciały i zaraz wróciły z flaszkami. Wlałam najpierw do jednej... Okazało się, że Zosia przyniosła flaszeczkę z nafty, bo jej chłop smarował naftą maszynę do szycia, ale Zosia nie wiedziała, że flaszka jest z nafty. Spróbowała, skrzywiła się i mówi: – Mamo! Weź sobie sok z tą flaszeczką!

Golikowa spróbowała też: – E, nie Zosiu. Mnie nie smakuje taki. Ja nie lubię. Naftą zaletuje.

A Zosia: – Mamo! Żebyś wiedziała, jaka nafta jest zdrowa! Jak się ma szkarlatynę, to tylko naftą się leczy!

– Ale ja nie mam szkarlatyny.

– Ale mamo, mówię ci, nafta jest bardzo zdrowa! Weź se, mamo, ten sok, a ja tamten.

– Daj mi tamten. Tego nie chcę. – Golikowa źle mówiła, bo miała krzywe usta, była po wylewie, to jej się usta skrzywiły. Tak źle mówiła i pomalutku.

A Zosia znowu: – Mamo! To jest najzdrowsze! Nafta! Wierz mi, co ja ci mówię!

– Zosiu, ja nie lubię nafty...

Jak się potem podzieliły tym sokiem, nie wiem, bo nareszcie poszły ode mnie, spać.

Na drugi dzień przyszły obydwie, z kótnią. Zosia mówi do mnie:

– Niech mi pani pozwoli, zatelefonuję do męża. – I telefonuje. – Wiesz, Tadziu, byłam z mamą w sklepie, kupiłam ryżu i cukru, i nic więcej, i wydali mi ze setki tyle a tyle, ile się należało, przyszłam do mamy... (Bo zawsze tam pierwsze wstępowała, żeby buty wytarła, żeby do domu se błota nie niosła. Do mnie też najpierw przychodziła, jak pracowała przy śledziach, żeby trochę tego smrodu ze śledzi najpierw u mnie zostawić.) – Tadziu! – mówi dalej do męża, do telefonu – ino tyle com położyła u mamy pulares na stole, ino się obróciła i już ni mam dwadzieścia złotych! Jurek mi ukradł dwadzieścia złotych!

Jurek to był brat Zosi. Straszny pijak. Pół żołądka mu oberżnęli w szpitalu, przez to picie. On byle co robił, rozwoził końmi śledzie, albo mył szyby w sklepach, ale co tylko zarobił, to wszystko przepił. Potem leżał pijany pod piwnicą albo na schodach, nieraz cały był zesikany, leżał w kałuży, aż go matka znalazła, albo dozorca, to go ktoś zawlókł z ledwością po schodach na drugie piętro, do domu. Ale Golikowa go zawsze broniła, jak matka. To wzięła telefon od Zosi.

– Dej ten telefon!... Tadziu! Nie słuchaj Zosi. Jurek jej nie wziął! Tyle jej wydali w sklepie, bo ja widziałam, ino ona źle porachowała. Tadziu, przysięgam ci, żebym umarła, że Jurek jej nie wziął!

A Zosia znów łap za telefon! – Dej mi mama!... Tadziu! Żebym oślepla! Jurek mi wziął dwadzieścia złotych! Przysięgam ci! – I klęka na ziemi. – Jeszcze raz ci przysięgam, Tadziu, żebym oślepla, że wziął mi Jurek te dwadzieścia złotych! Ino ryżu kupiła i mama mi jeszcze cukru odsypała. – Bo tak kupowała cukru, w torebce szpicatej. Ścisła tak i pokazuje: – Ino troszkę cukru mi zostało! Mama mi cukru odsypała, jak nie zauważyłam.

Zaś Golikowa: – Tadziu! Jeszcze ci raz przysięgam! Żebym jutra nie doczekała, żem jej cukru nie usypała, ino dziurawa była torebka i jej się po drodze wysypało, jak nie zauważyła.

Zosia znów wyrwała matce słuchawkę: – Tadziu! Takem, wiesz, się zdenerwowała, żem upadła na kolano i mam pończochę dziurawą. Przedarłam pończochę! – i pokazuje tę dziurę na pończosze. – I tak mnie teraz noga boli, żebyś Tadziu wiedział! A co do tych dwudziestu złotych, to tak było, jak ci mówię. Chyba mnie, Tadziu, wierzysz, a nie mamie?

No i tak skończyły tę rozmowę. Pogniewały się. One się gniewały stale, nie tylko ze sobą, ale ze wszystkimi. Raz Zosia gniewała się z Tosią... Tosienkę lubię do dziś dnia, bo to bardzo przyzwoity i dobry człowiek... No więc one się gniewały, a ja pakuję paczki na Mikołaja do wysyłki dla moich dzieci. Gęś pieczoną wtedy ubierałam w taką suknię jedwabną... Najpierw szylam suknię dla Mikołaja, czyli dla tej gęsi... Musiało się szyć na małej poduszeczce, na jaśku, żeby ją jakoś dopasować. Nie będę szyła na gęsi, boby się zatłuściła... Różne rzeczy

dawało się do paczek i aż dwie paki trzeba było zanieść na pocztę. No to musiały nieść dwie, a gniewały się ze sobą. Jak mi pakowały, to ja tylko dyrygowałam nimi, bo już wtedy miałam astmę i nie miałam siły. Pakujemy te paki, obydwie mi pomagają, ale one do siebie nie mówią, a ja mówię z obydwoma. Bardzo to było śmieszne. Przy tym pakowaniu to cały pokój był śmieci: papierków, sznurków, strzępów różnych, bo tak jest przy pakowaniu. Trzeba posprzątać, a ja ledwo żywa!

– Niech pani nic nie robi! My wszystko zrobimy, jak przyjdziemy z poczty!

Wiedziały, że zawsze dostaną coś, gorzałki i wynagrodzenie, to one to bardzo lubiły, zwłaszcza Zosia, bo Tosi gorzałka szkodzi. Poszły na pocztę, nie odzywały się do siebie, wróciły z poczty i nie mówiły nic! Dopiero jak im postawiłam flaszkę i popiły razem ze mną, zaczęły z sobą rozmawiać, bo się polubiły na nowo, jak się trochę opiły.

Zosia nie lubiła się długo gniewać, ale Tosia wołała się gniewać, bo jak się nie gniewały, to Zosia stale chodziła do niej na pożyczki: to garnka, to pokrywkę, to jedzenie, a nigdy nie lubiła nic oddać.. Jak już coś poszło do Zosi, to przepadło!

### **Stefka przyjmuje mężczyzn tylko zmysłami!**

Stefka była siostrą Golikowej. Gotowała zawsze liście z cebuli i włosy farbowała. Miała czerwoniusięńkie włosy! Zupełnie cebula! A ledwo ją tylko zabolala głowa, to buch do lekar-ki! I do dziś dnia tak chodzi. Tak, że lekarka jak ją widzi, to mówi:

– Pani! Jak ja panią widzę, to już ledwo żyję! Bez kolejki niech pani wejdzie, zapiszę pani wszystkie lekarstwa! Ja przez panią jestem chora, bo co dzień tu pani siedzi!

Ona rzeczywiście co dzień siedziała u lekar-ki, żeby nie umarła. Tak się ratowała! Leki wszystkie co prędzej pozjadała, na raz, żeby prędzej była zdrowa...

Stefka strasznie Golikowej lubiła wybrzydzać. Jak ja kupiłam gęś, to Stefka mnie zawsze prosiła o głowę, o łapy, bo ja to wyrzucałam przecież. To pomyślałam, że ona sobie zrobi zupę z tych dróbek, a ona to brała i przywiązywała na klamkę Golikowej. Związała sznurkiem wszystko i przywiązała do klamki, bo się jej z tym nie chciało nic robić.

A Golikowa biedna, dzieci miała, nie miała im co dać zjeść, bo ten jej chłop to pijak był, więc nie miała pieniędzy i była z tych dróbek zadowolona. Sparzyła je i robiła na tym krup-nik. Ale ja nic o tym nie wiedziałam, długie czasy! Jednego razu Golikowa mnie spotyka i dziękuje mi, że taka dobra, że jej się te dróbka bardzo przydają na krupnik. A ja mówię: – Jakie dróbka?

– No bo pani mi tego nie śmie dać, a ja z tego i tak jestem zadowolona, że pani na klamkę te dróbka przywiązuje.

No to dopiero się okazało! Więc mówię: – Gdzież ja bym śmiała pani przywiązywać na klamkę takie rzeczy! Lada co! Daję Stefce, bo ona o to prosi, i Stefka przywiązuje!

A Stefka to robiła na złość, bo Golik gonił w skarpetkach do Stefki... Jeszcze Golikowa tu nie mieszkała, jak gonił do niej od początku. Bo Stefki mąż rozszedł się z nią na drugi dzień, czy trzeci, zaraz po ślubie. Stefka dorożkami jeździła po mieście z Golikiem. A Golikowa powiedziała, że nieraz spotkała ich, jak jechali dorożką i wołała za nimi, żeby Golik dał pie-niądze, bo nie miała za co dzieciom kupić jedzenia. A jak przez okupację troszkę wódki zaw-sze miałam w domu, z litr na handel, to kupował u mnie. W skarpetkach od Stefki przychodził w nocy, z flaszonką malutką, żeby mu sprzedać troszkę wódki i żeby nie słyszeli na górze, że idzie po schodach. Nie miałam mówić Golikowej, że on u Stefki był. Golikowa zawsze mó-wiła do Stefki: – Tyżeś mi odbijała męża! – A Stefka znów: – Widzisz? Ja się mu lepiej po-dobałam, chociaż ty byłaś młodsza! – Stefka zawsze była k... I jest. Nawet Głuchy wypisał mi

raz list: „Bardzo panią ostrzegam, niech pani nie rozmawia ze Stefką, bo ona jest k... A pani tak dobrze wychowała dzieci i pani jest taka uczciwa i taka piękna, że pani nawet nie pasuje stanąć przy niej! Czy pani wie, jak ona mężczyzn przyjmuje? Oknem wpuszcza! Ja się tylko dziwię, czym ona przyjmuje tych mężczyzn, bo ona ma wszystko ze siebie wycięte. Ona tylko zmysłami przyjmuje mężczyzn!”

### **Głucha chce być pochowana w kościele**

Żona Głuchego nazywała się też Głucha, ale po nim, przez to, że on był głuchy. Ona mu gotowała zawsze tylko ziemniaki i na cały tydzień kilo kaszanki, tej najtańszej! Dla siebie kupowała, też na cały tydzień, kilo wątroby krowiej, bo wątroba zdrowa. Głuchemu dawała na obiad tylko trzy cienkie plasterki kaszanki, ziemniaki suche i dwa pomidory surowe, ale jak były już tanie. A pieniędzy mieli tyle... on powiedział, że jakby żyli dwieście lat, to by grosza znikąd nie potrzebował, mogliby dobrze żyć i jeszcze by nie przejedli tych pieniędzy. Głucha często po księdza posyłała. Po młodego! Bo umierała często. To położyła kozuch na łóżku i na kozuchu leżała, że nie ma pościeli, że biedna. A jak przyszedł ksiądz, to siedział długo u niej. Nie wiem, jak tam wytrzymał, bo tam strasznie śmierdziało!... Głuchy robił już często pod siebie na starość, to potem musiał wynosić sobie sam i prać sobie. Ona by nic przy nim nie zrobiła! A jak ksiądz był długo u Głuchej, to Głuchy gonił po korytarzu, zazdrosny, że ksiądz siedzi u żony tak długo, i do tego jeszcze młody ksiądz! To do Golikowej szedł i mówi: – Pani Golikowa, niech mi pani powie, co ten ksiądz może robić u mojej żony tak długo? Czy to możliwe, żeby ona się tak długo spowiadała! I z czego?...

A Głucha, jak była młoda, to była k... Ale Głuchy był hrabią i wziął ją z tej złej drogi, bo była ładna, i wykształcił ją, że potem była nauczycielką. Ale wreszcie, jak poszła na emeryturę, to zaczęła handlować masłem i jajami. Slamdziła, że jest taka biedna rencistka i wszyscy u niej z litości kupowali. Zawsze się dobrze obłowiała, bo jeszcze oszukiwała na wadze. Jak leżała chora i trzeba było przy niej robić, to ją obsługiwała Zosia. Chodziła do piwnicy po węgiel, sprzątała te brudziska, gotowała, a Głucha za to jej obiecała, że jak będzie umierać, to jej da pierścionek. Miała bardzo dużo złota i srebra, i zegarków dużo. Ale i tak nic Zosi nie dała.

Raz idę z hali targowej, a Głuchy też idzie i coś tak chytrze je z ręki. To ja się pytam: – Co tak pan je? – A on mówi: – Wie pani, kupiłem sobie dziesięć deka salcesonu, to muszę zjeść na ulicy, żeby żona nie widziała, boby mi nie pozwoliła na taki wydatek.

A raz było tak, że Stefka idzie po schodach i Głuchy też, i spotkali się, bo on szedł z góry, z mieszkania, a ona szła z tej swojej dziury na górę do Golikowej. Głuchy był na nią stale wściekły, o wiadro, które mu kradła, i tak się puścił do niej, do bicia, że mu spadł papuc z nogi. To Stefka ten papuc porwała. I Głuchy jak ją dopadł, jak zaczął szarpać pazurami, aż ją tam trochę podrapał do krwi. Więc mu Stefka przyłożyła tym papuciem w łeb i on się za bolące miejsce złapał. Jak zdjął ręce z głowy, to patrzy, że ma krew na rękach, więc zaczął się drzeć, że go Stefka zabiła i zaraz woła o milicję. To się zrobiło zamieszanie, milicja przyszła, oni się równocześnie darli, nikt nic nie mógł zrozumieć, aż w końcu Głuchy wystękał, ledwo żywy, że go Stefka pobiła do krwi. To oni zaczęli tej rany szukać na nim, ale nie znaleźli, bo się okazało, że krew była ze Stefki, bo ją podrapał. Milicja wcale się nie chciała nimi zajmować, bo stale tak wariowali i donosili na siebie.

Głuchy był taki głuchy, że nic nie słyszał, ale o wszystkim wiedział, co się działo w kamienicy. Nie wiem skąd? Może mu Głucha pisała wszystko na papierze?... Jak miałam do niego jakiś interes, to wiedziałam, że nie ma co pukać do drzwi, bo i tak nie usłyszy, więc szłam na ganek, za ich okno i jeżeli on mnie nie widział, bo stał tyłem, to wtedy rozwieszałam



fartuch na całe okno, żeby mu zasłonić światło i on się wtedy, wściekły, odwracał, więc mu się pokazywałam, że chcę z nim mówić, ale to nie było mówienie, tylko trzeba było wszystko wypisać na kartce, bo choćbym mu nawet krzyczała do tego starego, owłosionego ucha, i tak by co innego rozumiał. Szkoda było fatygi.

Z tej głuchoty to dwa razy wpadł pod tramwaj. A za drugim razem to już na dobre, bo na śmierć. Głucha była z tego zadowolona, bo już nie musiała mu kaszanki kupować i bardzo chciała wyjść jeszcze za męża, chociaż miała już prawie osiemdziesiąt lat. Ona bardzo lubiła chłopów. Nawet jej to imponowało, że jak kiedyś poszła do piwnicy, to przy tych szczurzy-skach dopadł ją tam syn stróżki, taki wyrostek, ale trochę nienormalny, i rzucił się na nią, to mi potem z dumą opowiadała:

– Wie pani, on jak się wpił we mnie, to mi chciał rozgnieść usta swoimi ustami!

Świństwo! Jak on się mógł brać do całowania takich sinych glist?! Bo ona miała glisty, a nie żadne usta.

Zanim umarła, to stale goniła do księdza i koniecznie się napraszała, że cały majątek odda na kościół, żeby ją tylko pochowali w kościele, w takim specjalnym grobowcu. Ale ksiądz się nie zgodził, że nie wolno. Więc ugadała się z jakimś tam młodym chłopem, że razem kupią dom z ogrodem w Mogile. On jej obiecał, że się z nią ożeni i ona mu za to swoją część też zapisała. No to miał dobrze, bo ona niedługo umarła i wszystko zostało dla niego, chociaż się nie ożenił.

### **Kucharcia i jej buty z otworami na odciski**

W tym domu mieszkały same waryjaty. Bo weźmy taką Marię-kucharcię razem z Darończakową... Te dwie to już straszne brewerie ze sobą wyprawiały.

Darończakowa zawsze była stara, odkąd ją znałam, i była okropnie niedobra, do tego stopnia, że się przez nią jej córka powiesiła. Ona była długa i chuda, a chłopka miała malutkiego i grubego. Chory był na astmę całe życie, aż w końcu z tej astmy umarł. To ona została sama, ale że stale kuwikała, to nie chciała być bez nikogo. Chciała sobie wziąć na mieszkanie kogoś, kto by się nią czasem zajął, jak nie dała rady zwlec się do sklepu albo sobie coś ugotować. No to, nie wiem skąd, ugadała się z kucharcią, czyli Marią, która była jeszcze większym waryjatem niż Darończakowa.

Darończakowa mieszkała w pokoju, a Maria u niej w kuchni. Jak już Darończakowa leżała kilka lat przed śmiercią i nie podnosiła się z łóżka, to Maria sama urzędowała w kuchni i nawet sprawiła sobie zamek i kłódkę, żeby jej tam nikt nie wchodził. Nie było dnia, żeby Maria nie kłóciła się z Darończakową. Kłóciły się przez drzwi. Darończakowa się darła do Marii:

– Ty stara małpo! Ukradłaś mi kuśborek! Był i nigdzie go nie ma! Wiem, że to tyś mi ukradła!

Kuśborek to był taki mały nożyk, jakby kozik. Ona tym kuśborkiem obierała ziemniaki, ale to było dawno, jak jeszcze mogła się ruszać i gotowała w kuchni przy Marii. A wtedy to już rok leżała w łóżku i kuśborek do niczego nie był jej potrzebny.

To Maria zawsze jej na to odpyskowała:

– Mam w d... twój kuśborek i ciebie! Ty stara jędzo! Nic ci nie ukradłam! Za to tyś mi ukradła szczotkę!

A na to znów Darończakowa:

– Poszukaj se pod spódnicą, to może znajdziesz tam jaką szczotkę! Innej szczotki nigdy nie miałaś, ty dziadówko!

Raz nawet Maria wpadła do pokoju Darończakowej i chciała ją udusić ze złości, ale dozorca jakoś je rozdzielił.

W każdym razie Maria mieszkała w tej kuchni, długo jeszcze po śmierci Darończakowej. Co tam się działo w tej kuchni, to dopiero się okazało po śmierci Marii, bo przedtem nikogo by do siebie nie wpuściła. Nawet robotników, jak przyszli każdemu zakładać gaz, nie wpuściła, że jej to nie jest potrzebne.

Zawsze jak wychodziła z domu, to dokładnie zamykała drzwi na wszystkie zamki i jeszcze ze trzy razy się wracała, żeby sprawdzić, czy dobrze zamknęła. Robiła też różne znaki, po to żeby jej nikt nie poruszył zamków. Układała zapalniczki na klamce, przywiązywała różne nitki, a do tych nitek wiązała drewnienka i do zamków wciskała papierki, ale i tak jak wróciła skądś, to zawsze na cały korytarz wrzeszczała, że złodziej się dobierał do jej mieszkania, bo te znaki były poruszone.

Chodziła stale na podwórko, na śmietnik i tam grzebała w tych pakach ze śmieciami, i wybierała, co kto wyrzucił, a co dla niej się jeszcze nadawało, różne stare garnki, szmaty, pudełka i byle co. Wszystko to zносиła do chaupy i upychała po kątach, pod łóżkiem i do łóżka. Łóżko to codziennie zaścielała z tymi wszystkimi śmieciškami, a jeszcze na wierzchu, na kapę dawała tysiąc starych papierów i gazet. To wszystko spinała agrafkami i znów na wierzchu układała zapalniczki, i robiła różne znaki, żeby nikt jej tego nie ruszył.

Jadła byle co. Przeważnie łażyła po kamienicy i ślamdziła, żeby jej kto co dał. A miała przecież rentę i jeszcze zarabiała, bo chodziła do ludzi kucharyć. Krótko to zawsze trwało, bo miała niewyparzoną gębę i zaraz ją każdy wyrzucał z posady. Kto by ścierpiał takiego złodźnika, brudziarza i waryjata?...

Miała wielkie odciski na wszystkich palcach, to przez to każde buty były jej ciasne, więc wykrawała okrągłe dziury w każdym takim miejscu, gdzie miała odciski. Nawet w tenisówkach wyrznięła dziury, bo też ją szmata z tenisówek uwierała.

W kamienicy zajmowała się tylko bajkami. Goniła od drzwi do drzwi i powtarzała, co kto na kogo powiedział. Przez to stale było zamieszanie i prawie wszyscy się ze sobą gniewali, bo przecież wiadomo, że tam coś się na kogoś zawsze powie, ale po co to było powtarzać?...

Chociaż mieszkała na pierwszym piętrze, to potrafiła co pięć minut złazić na dół i strasznie psioczyła, że znów ktoś nie zamknął bramy za sobą i że jest przeciąg, a jej przeciągi szkodzą. Często nawet stała przed swoimi drzwiami i tylko słuchała, czy się brama ruszy, i już leciała popatrzeć, czy jest zamknięta. Oprócz bramy pilnowała jeszcze drzwi w korytarzu, które prowadziły na wspólny ganek. Te drzwi były całkiem z boku, za takim zakretem korytarza, i nic tam do niej nie mogło dochodzić, żadne przeciągi, ale jej to nie pasowało. Tak że cały dzień miała robotę z drzwiami w bramie i przy ganku.

Nie chodziła do klozetu, bo trzeba było iść przez ganek, to po co miała tam chodzić? Wolała robić do wiadra i potem to wiadro wynosiła, ale nie codziennie, tylko raz na tydzień. To tam u niej w domu musiało ładnie pachnieć... Jedna baba, straszna potwora, która miała mieszkanie w tym samym korytarzu co Maria i Darończakowa, stale wyklinała i straszyla, że sprowadzi komisję sanitarną, żeby oni zobaczyli, co tam się dzieje, bo tak na cały dom śmierdziało, że nie sposób było wytrzymać. Z tego brudu i smrodu to potem Marii zrobiły się wrzody na całym ciele. Miejsce w miejsce! Zabrali ją do szpitala, ale na siłę ją zabrali, bo już jej ciało odpadało kawałkami. Gniła na żywo. Strasznie się darła, że do szpitala nie pójdzie, bo nic jej nie jest i te wrzody same przyschną. W szpitalu już całkiem dogniła i umarła. Ale jeszcze w dzień śmierci, jak przyszła do niej dozorczytni, bo nikt inny tam nie chciał chodzić do takiej wścieklizny, to jeszcze, chociaż już ledwo mówiła, wyszeptwała:

– Pilnuj mi pani mieszkania, bo ja tam lada dzień wrócę...

I już za chwilę było po niej.

## **Wielka dama z fioletowymi brwiami**

Na parterze, obok Stefki, też w takiej okropnej norze... Okno wychodziło na podwórko, na te śmieci i szczury, to tam mieszkała stara Łeńcińska. Podobno kiedyś była wielką damą, panią całą gębą. I nawet miała gdzieś daleko w Polsce córkę, która była bogata i elegancka, ale nigdy się do matki nie pokazała.

Łeńcińska ubierała się w suknie chyba jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej, bardzo były te suknie wymyślne i dzikie w kolorze. Może kiedyś były eleganckie, ale wtedy już nie, no i nie na taką starą babę!... Włosy sobie sama farbowała, na żółto, jak jajecznicą. Usta malowała na czerwono, a brwi miała takie, co jej po parę kudeł sterczało nad oczami i takie skóry krzywe wisiały, to ona na tym malowała fioletowym ołówkiem kreski, ale bardzo krzywo, bo się nie dało na tej wiszącej skórze prosto wymalować.

Ta Łeńcińska stała od rana do nocy w bramie i patrzyła na ludzi, bo nic innego nie miała do roboty. A co chwila leciała do domu i zmieniała suknię. Może myślała, że jej się jakiś kawaler trafi?... Nikt się jej nie trafił – miała przecież więcej niż osiemdziesiąt lat! Z nikim specjalnie nie zadawała się w kamienicy, bo się uważała za wielką damę. Toteż nikt nie wiedział, jak umarła. Tyle że jak jej ze trzy dni nie widziano w bramie, to ktoś tam powiedział, że może trzeba zajrzeć do niej, czy aby jeszcze żyje... Jak dozorca wywalił drzwi, to ona siedziała sztywna przed lustrem i miała w ręce fioletowy ołówek i jedną brew wymalowaną, a drugiej już nie zdążyła wymalować, bo ją akurat śmierć złapała. No to dali znać do policji i jakoś tam wyszukali adres tej jej córki, i wtedy dopiero zobaczyliśmy tę córkę, jak przyjechała na pogrzeb. Rzeczywiście nadzwyczaj elegancka była, taka wytworna dama, co się tylko widuje w filmach takie osoby. A jej matka umarła jak zwyczajna dziadówka. Ta córka wstydziła się, że jej matka była takie czupiradło i kazała, żeby do trumny zmazali jej te czerwone, pomarszczone usta i fioletową brew, ale włosy i tak zostały żółte jak jajecznicą. I nie było jej w czym pochować, bo przecież nie dadzą do trumny starej baby w takich papuziastych sukniach, a innych nie miała. Córka dała przefarbować na czarno jej szlafrok czerwony w pomarańczowe i fioletowe kwiaty, i w tym ją pochowali. Przynajmniej był długi i pod szyję: Wszystko inne było z dekoltami i z frędzlami.

Po pogrzebie ta córka prędko wsiadła w pociąg i nawet się nie interesowała, co się stanie z tymi betami, co zostały w domu u jej matki. Uciekła od wstydu.

U wielkiego państwa to często nie widać żadnej miłości dziecka do matki. Pewnie nie ma czasu na miłość, bo trzeba myśleć o tym, na co wydać pieniądze, których jest za dużo...

## **Trzeba poczekać, aż się oczyści atmosfera**

Po Łeńcińskiej wprowadziła się na jej miejsce Marychna. Nikt nie wiedział, jak się naprawdę nazywała, ale nikomu to nie było potrzebne. Marychna miała nieślubną córkę, którą wychowywały zakonnice, a sama mieszkała z chłopem, tak bez ślubu. On był podobno kiedyś kucharzem na okręcie, ale wtedy już nie był niczym i ona też niczym nie była. Nie wiadomo, z czego żyli. On wychodził i zawsze nie było go cały dzień, a ona tylko leżała w łóżku i czytała książki. Chyba wszystkie książki, jakie były na świecie, przeczytała. A w domu zawsze bałagan! I brud!... Jak się zaszło do Marychny i ktoś tam spytał, czemu ona sobie nie posprząta, to zawsze odpowiadała:

– Tylko się moja sytuacja ułoży i oczyści atmosfera, to się zaraz wezmę do porządków!

Nigdy się nie wzięła do tego. Raz patrzymy... Jest pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia, a Marychna otwiera drzwi i zaczyna szorować podłogę. Od progu zaczęła szorować... Pewnie ten jej chłop ją skłął, że nawet na święta nie ma w domu porządku... No tośmy wszystkie poszły na to dziwo popatrzeć, że Marychna sprząta. I każdy przyganił w myśli, że ona takiego wielkiego święta nie uszanuje. Ale trwało niedługo. Tyle tylko co zdążyła próg wyszorować i już powiedziała, że ją głowa strasznie boli i musi się położyć, a wysprząta wtedy, jak się atmosfera całkiem wyczyści. Dokąd tam mieszkała, to się jednak nie wyczyściła. Potem wyjechała z chłopem na drugi koniec Polski i wszelki ślad po niej zaginął. Może tam się atmosfera wyczyściła i teraz ona ma posprzątane w domu, ale nie ma się jak tego dowiedzieć... A może już nie musi na to czekać, bo już wtedy miała przeszło pięćdziesiąt lat, to teraz by miała już z dziewięćdziesiąt, więc chyba już w niebie czeka, aż się ta atmosfera wyczyści...

### Lusiu, ty jesteś k...

Do mieszkania pani Boskiej wchodziło się wprost z ganku. Nasze okna wychodziły na jej drzwi i na okno z kuchni. Ona była bardzo tajemnicza i żyła z daleka od wszystkich w kamienicy. Codziennie jak szła na zakupy, wkładała kapelusik. Całe życie nosiła tylko ten jeden kapelusz, ale z gołą głową by nie wyszła. Za dawnych czasów była nauczycielką, a więc z inteligencji wysokiej. Potem wyszła za mąż i już tylko była w domu. A jej mąż pracował w banku; był kasjerem, no więc urzędnik! Tacy ludzie są elegancy i nie zadają się z byle kim. Mieli dwóch synów. Jeden młodszy chodził do gimnazjum, a starszy był na medycynie. Jak był dopiero na pierwszym roku, to już mówił o sobie „pan doktor”! Nieraz mówił do któregoś z moich dzieci: – Idź do mamusi i powiedz, że pan doktor się pyta, która teraz jest godzina... – Ten pan doktor zaraz po pierwszym roku został wyrzucony ze studiów, nie wiem za co, i był niczym. Potem, jak już był starszy, zaczął pić i gonił po całej kamienicy, żeby pożyczyć na wódkę. Chodził też do Stefki i tam pijał, pożyczał też od niej, a potem nie miał z czego oddać. Stefka mnie prosiła, bym powiedziała jego matce, żeby ona za niego oddała pieniądze. Stefka się wstydziła, bo pani Boska nawet nie odzywała się do niej słowem; przecież wiadomo, kim była Stefka, a to było wielkie państwo! To ja poszłam... Bo myśmy tam parę słów zamieniały ze sobą, i mówię to wszystko. Od tamtego czasu pani Boska przestała ze mną mówić i nie odklaniała mi się, bo się obraziła, że ja wiem, że jej syn jest pijak i chodzi do Stefki. Oni wszystko bardzo trzymali w tajemnicy. Mąż pani Boskiej też był nałogowym pijakiem, ale wszystko odbywało się po cichu. Jak wracał z pracy pijany, to się tylko dlatego wiedziało, że się zataczał na nogach, ale nie robił żadnego rabanu, ani nic. Ona zaraz zamykała drzwi za nim i wszystko było cicho. Tylko że myśmy mieli ścianę przy ich ścianie i było słyhać, co się tam dzieje. Jak się upił, to potem całą noc gadał głośno. Jej głosik tylko ledwo co było słyhać, a jego bardzo wyraźnie. Zawsze mówił jedno i to samo:

– Lusiu! Ty jesteś k... Lusiu! Twój ojciec był szewcem i dlatego ty jesteś k...

Nie wiem, co mu na to odpowiadała, bo się nie dało słyszeć.

Jak poszedł na emeryturę, to już nigdy nie wychodził z domu, tylko ona codziennie musiała mu przynosić do domu ćwiartkę wódki, boby nie mógł żyć bez tego. Wtedy już cały dzień i całą noc mówił do niej i zawsze to samo, aż wreszcie umarł przy flasce. Ona potem też umarła i ten syn pijak tak samo. A z tym drugim to nie wiem, co się stało.

## Do ślubu z nieboszczykiem

Z podwórca były jedne drzwi do wychodka, co tam chodziła Stefka i ta waryjatka z liliowymi brwiami, i drugie drzwi, gdzie mieszkały dwie baby; miały naprzeciw wychodka mieszkanie. Też się tam wchodziło z podwórca, przez takie drewniane schodki. To była matka z córką. Obie już były stare, ale matka oczywiście starsza. Matka pijała codziennie wino, takie najtańsze, a jak nieraz chciała droższe o złotego, to szła do sklepu i mówiła: – Niech mi pani da wino. Ty lepszy! – Ona była wiedenką, tak przynajmniej mówiła, i strasznie była z tego dumna. Może i była faktycznie, bo mówiła dobrze po niemiecku i jej córka też, tak że nawet ta córka dawała lekcje niemieckiego. Córka była jeszcze ładna, ale zbzikowana. Była pielęgniarką. Podobno w szpitalu była bardzo dobrą pielęgniarką, tylko w życiu miała bzika. Codziennie gonila do kościoła i przed ołtarzem zawsze strasznie płakała. A jak szła ulicą, to mówiła sama do siebie. Ładna była. Czarnula. I zgrabna. Chłopa nigdy nie miała żadnego. Nie wiem, czemu. Może z tej świętości, bo stale w kościele siedziała?...

W każdym razie jednego razu zdarzyło się tak: jakiś mężczyzna samotny umierał w szpitalu na raka. Ona się nim bardzo opiekowała, bo była dobra dla wszystkich chorych. No i on ma już umrzeć, jest sam, nikt do niego nie przychodzi do szpitala, a nie chcą go już trzymać, bo wiadomo, że się nie wyleczy, bo musi lada dzień umrzeć, a w szpitalu łóżek brakuje nawet dla tych, co jeszcze mogą pożyć... No to ona się ulitowała i mówi, że go weźmie do siebie, do domu. I wzięła go. Przywieźli go i zanieśli na noszach. Nie wiem, jak tam do tego doszło, może go namówiły, albo co, dosyć na tym, że dwa dni przed śmiercią on bierze z nią ślub! Na tym łóżku! Przyszedł ksiądz, on leżał w łóżku, bo się już nawet podnieść nie dał rady, więc ksiądz daje im ten ślub, i ona jest już mężatką. To na drugi dzień jej matka leci do sklepu i każe sobie dać wino „ty lepszy” i głośno do wszystkich mówi:

– Zdaje się, że będziemy mieli małe! Bo moja córka wyszła za męża!

Nie było małych i chłopca nie było, bo na drugi dzień umarł. Ale przynajmniej nikt już o tej córce nie mógł mówić, że jest starą panną, bo przecież miała chłopca. Chociaż jeden dzień!

## O jednej takiej, która nigdy z mężem nie rozmawiała

Ta co mieszkała koło drzwi Marii-kucharci nazywała się Szpakowska. To był straszny drań-baba! Wszyscy się jej bali w kamienicy, bo miała pysk od ucha do ucha! Nie umiała do nikogo nic grzecznie powiedzieć, tylko spyskowała. Toteż nikt z nią nie mówił. Strasznie była ważna, bo jak była panną, to była córką rzeźnika, bogaczką! Dla tych pieniędzy ożenił się z nią jeden, co był urzędnikiem w Ubezpieczalni. Chodził po ludziach i zbierał pieniądze za coś tam, nie wiem za co, bo my nigdy z nim nie mieli nic wspólnego. Oni, ta rzeźniczka i jej chłop, nigdy ze sobą nie rozmawiali. Całe życie! Chyba że się kłócili. Bo raz tośmy wszyscy słyszeli taką kłótnię. Ona mu coś tam nauragała, a on jej za to powiedział:

– Jak chodziłem do ciebie w nocy, ty k..., toś zawsze leżała w posranej koszuli!

Więcej nie mieli sobie nic do powiedzenia. On był taki mrucek. Przylizany, żółty, przygarbiony. Zawsze tak chodził, jakby się skradał. Takie byle co, a nie chłop. Ale jednego razu dowiedzieliśmy się, że on ma gdzieś na mieście kochankę! No to jak my to wiedzieli, to ona też. To tak go sprąła, że już potem nie mógł się z łóżka podnieść. I tak już umarł. Ale też bez słowa. Ani ona, ani on. Umarł po cichu. Pewnie był nawet zadowolony, że już nigdy nie zobaczy tej jędzy!

A ona była taka chytra, chociaż mieli w domu pełno złota, że nic by nie wyrzuciła, choćby nawet się zaśmierdziała. Miała paki cukru, mąki, ryżu, kaszy, a we wszystkim aż kłębiły się robaki, ze starości, bo trzymała to Bóg wie jaki długi czas. A od moli to tam było aż gęsto!

Raz, po wojnie, chciała coś zarobić i zaniósła do sklepu cały worek czekolad, które nakupiła jeszcze przed wojną. No to we wszystkich były robaki. Musiała z powrotem to zabrać. Nie wiem, co z tym zrobiła? Może sama zjadła, boby przecież nic nie wyrzuciła. Herbaty całe torby miała też sprzed wojny. Wszystkiego! Ludzie w kamienicy przymierali w wojnę głodem, ale ta cholera nic by wtedy nie sprzedawała, bo się bała, że będą wiedzieli, że ona ma tyle zapasów. Nawet dziecko Golikowej umarło z głodu, w piwnicy, podczas bombardowania, a ona to widziała, ale nie dała nic!

Teraz jest taka sama. Żyje jak odludek i nikt z nią nie mówi, bo się jej wszyscy boją; pysk ma taki sam, jak miała. Tylko tyle, że z wielkiej baby zrobiła się z niej skurczona, mała babina. Chodzi z laseczką, bo nie ma siły włóczyć nogami, ale do pyskowania ciągle jeszcze ma siłę. Ona jeszcze w trumnie będzie pyskować!

Ja jej nienawidzę, bo mi strasznie dużo krzywdy zrobiła. Nawet poszła w okupację na policję, donieść, że u nas się Żydy przechowują. Ale mi na szczęście nic nie zrobili, bo akurat jak przyszli, to żadnego Żyda nie było w domu. Ksiądz mnie uprzedził, bo mu się najpierw z tego grzechu wyświadała. Inaczej bym przepadła! A co biedne Żydy były winne temu, że były Żydami?... Nie odmówię przecież ratunku, jak widzę, że człowiek ginie... Zresztą oni wszyscy mieli zawsze przerobione papiery, to ja udawałam, że nie mam pojęcia, kim oni są. Wynajmowałam mieszkanie na noclegi, to mógł sypiać, kto chciał. Nie będę przecież każdego oglądać, czy jest Żyd, czy nie. A musiałam zarobić parę groszy, bo z czego miałam dzieci wyżywić? Czasem się udało komuś posprzątać, ale jakie z tego były zarobki?... Nie brali do sprzątania, bo sami nie mieli co do gęby włożyć, to nie będą płacić za sprzątanie.

Za to teraz, ta cholera żyje jak palec, samotnie! A ja, dzięki Bogu, mam koło siebie pełno przyjaznych ludzi. Ona za przyjaciela może będzie miała tylko samego diabła!...

Całe szczęście, żem się z tego domu wyniosła, bo tam była istna Sodoma i Gomora! Dozorca czekałam się lepszych czasów i lepszych ludzi. Nawet wspominać o tamtym domu nie chcę. Teraz dopiero to ja mam życie!... Żebym tylko jeszcze zdrowie miała... Warto by trochę pożyć, żeby sobie odbić tamto wszystko...

## **Czym by tu zahandlować?**

Gdyby ktoś naszej matce powiedział, w okresie kiedy jeszcze dostawała dziesięć centów na bułkę jako wyżywienie na cały dzień, że kiedyś będzie mogła zjeść, ile tylko zechce bułek, a nawet ciast i wszystkiego czego zapagnie, nie uwierzyłyby. Wówczas wszystko wydawało się oczywiste, było takie, jak było i nie myślało się, że może być inne. Obecnie matka jada ciasta, czekolady, pije przednie alkohole, na jakie jej tylko przyjdzie ochota. Jeszcze kilkanaście lat temu, chociaż już nie było źle, ale wiele spraw stanowiło jeszcze problem, wtedy każda czekolada była rozkoszną luksusową niespodzianką. Obecnie zaczyna się już wybrzydzenie i przebieranie. Matka jest łasuchem, lubi mieć zapasy słodczy, ale obecnie muszą to być słodczyce bardzo dobre i stale inne. Jeżeli wpadnie w zachwyty z powodu czekoladek z nadzieniem marcepanowym i kakaowym, wysyłamy natychmiast większą ilość tego przysmaku, ale już po miesiącu dostajemy list:

„Nie posyłajcie mi więcej tych czekoladek! Już nie mogę na nie patrzeć! Przejadłam się nimi tak, że ani widzieć ich więcej nie chcę!”

Trzeba więc kombinować i szukać nowości w wyrobach czekoladowych.

Kiedy matka jest u mnie, za każdym razem gdy wracam do domu, matka asystuje przy wyładowywaniu torby na zakupy; wie, że tam znajdzie coś smacznego dla siebie. Wyjmuję bombonierkę z jajeczkami likworowymi, matka próbuje, wpada w zachwyty i woła:

– Czemuś zaraz pięć takich pudeł nie kupiła? Przecież to przepyszne!

Następnym razem kupuję więc pięć pudeł. Istotnie, są pyszne, ale do momentu, aż się matce nie znudzą, czyli jak ona mówi, „nie przejedzą”.

Zapasy słodczy gromadzi w koszyczkach i torbach plastikowych. Wszystko upycha po kątach; każda wolna szpara w domu jest zapełniona tymi zapasami. Kiedy ma na coś ochotę, wsuwa rękę do któregoś koszyczka i gmerze między papierkami. Niekiedy ze zdziwieniem wyciąga jakąś napoczętą wcześniej czekoladę, o której zapomniała. Wydawać by się więc mogło, że matka powinna być zadowolona, ponieważ niczego jej nie brakuje, ma nawet pewne luksusy, o których jej się kiedyś nie śniło. A jednak wcale tak nie jest. Bo nasza matka musi mieć kłopoty i zmartwienia. Musi mieć problemy. Po prostu źle jej się żyje, kiedy nie ma się czym martwić. Może najmniej martwi się o swoje zdrowie, co wydawałoby się całkiem naturalne, ale matka woli się martwić o nas. Więc problem numer jeden, to: „co by tu zrobić, żeby moim dzieciom było lepiej?”... Zapewniamy ją, że jest nam zupełnie, a w każdym razie wystarczająco dobrze. To matki wcale nie przekonuje:– Innym ludziom jest lepiej! Mają dużo pieniędzy, mogą sobie stale wyjeżdżać za granicę i zwiedzać świat, mogą kupować drogie dywany, meble i kosztowności. Co to jest, co wy macie??! Nic! A wszystko zarobione ciężką pracą!

– Najprzyjemniej jest mieć to, na co się zarobiło pracą – odpowiadamy. – Wszystkie inne dochody są podejrzane. Pochodzą albo z handlu, albo z jakiegoś szachrajstwa.

Matka nie ma nic przeciw spekulacjom handlowym. Gdyby miała więcej zdrowia i sprytu, handlowałaby prawdopodobnie wszystkim. Może tylko wykluczyłaby handel „żywym towarem”; wszystko co dotyczy skrzywdzenia drugiego człowieka, jest dla niej obrzydliwe. Ale jakiś zwyczajny, nieszkodliwy handelek?... Być może ta pasja sięga jeszcze czasów, kiedy matka sprzedawała w sklepie w Zawoi... W każdym razie uwielbia handlować. Ta mania jest powodem wielu kłopotów, które nam, dzięki temu sprawia...

Kiedyś, gdy istniały jeszcze problemy z naczyniami do gotowania i można je było dostać w niewielu sklepach (zawsze w niewystarczającej ilości), nasza matka wpadła na pomysł, aby handlować garnkami! Przyjeżdżała do mnie, do miasta odległego od Krakowa o setki kilometrów, i tam zaopatrywała się w garnki. Żadne perswazje nie odnosiły skutku, że to jest bez sensu, że się nie opłaca, że dużo kłopotów, a znikomy albo żaden zarobek. Matka jak zwykle wszystko wiedziała lepiej. No więc, dla świętego spokoju, biegało się po sklepach, kupowało garnki, zносиło do domu i tu zaczynało się pakowanie: każdy garnek należało osobno zawinąć w papier, ułożyć w pudle, pudło opakować i dobrze związać. Ponieważ jednak matce nie udało się wszystkiego ze sobą zabrać, resztę garnków trzeba było wysłać pocztą z napisem na paczce „ostrożnie!”, czyli z dodatkową opłatą za taką przesyłkę. Na dworzec jechało się z garnkami taksówką, potem opłacało się bagażowego, żeby doniósł do pociągu te ciężary i w Krakowie ta sama sprawa, z tym że jeszcze trzeba było dać spory napiwek doręczycielowi, który dźwigał paczki po ich nadejściu pocztą (matka jako człowiek honorowy, nie wypuściłaby doręczyciela bez napiwku). Potem matka miała milion kłopotów, aby znaleźć osobę, która sprzedałaby te garnki na rynku. Do każdego garnka dobijała cenę wyższą o dwa złote... Gdyby przeliczyć wydatki związane z transportem, byłyby o wiele wyższe niż dochody. Ale matka nie życzyła sobie, aby jej o tym mówić. Kiedy prosiłyśmy ją, aby zaniechała handlu garnkami, że gotowe jesteśmy dać jej sumę potrójnie wyższą od zarobku z handlu, w żadnym wypadku nie chciała się zgodzić, bo ona musiała „sama” zarobić! No więc opłacałyśmy ten han-

del matki, który był stratą pieniędzy i zdrowia nas trzech. Na szczęście okres handlowania się skończył, gdyż garnków już wszędzie było wystarczająco dużo. Odetchnęliśmy na jakiś czas. My. Ale nie nasza matka! Znow zaczęła kombinować nad łatwym sposobem zdobycia pieniędzy. Była jeszcze w okresie, kiedy kobietom zdarzało się wychodzić za mąż, chociaż już nie były zupełnie młode. Wpadła więc na wspaniały pomysł, że wyjdzie za mąż za kogoś bogatego i w ten sposób przysporzy nam majątku. Zaczęły się rozmyślenia, w jakim zawodzie mężczyzna może najwięcej zarobić?... Z tego co matka słyszała, mógł to być jedynie marynarz! A więc zapadła decyzja, że zdobędzie marynarza! Maltretowała nas i swoją biedną, ale pełną pomysłów głowę:

– Jak tu ułapić jakiegoś marynarza? Niech będzie, jaki chce! Może mieć nawet dwa garby, z tyłu i z przodu, byle tylko był marynarz!

Zapewniałyśmy matkę, że z całą pewnością nie znajdzie marynarza choćby tylko z jednym garbem, a cóż dopiero mówić o dwóch! Do marynarki nie przyjmą kogoś z garbem.

Matka i na to miała własny argument: – Nie gadajcie mi! Może się trafić marynarz z garbem, bo jakby który spadł z masztu, to by mu się garb zrobił!

Mimo iż statki mają maszty i może ktoś z tych masztów spada, naszej matce nie udało się spotkać marynarza z garbem. Jeżeli chodzi o marynarzy bez garbu, to na nich nie liczyła, bo: – Przecież taki może sobie wziąć młodą, śliczną żonę, a nie mnie!

Zapytałyśmy matkę, czy nie mogłaby pomyśleć o kandydatach z innego zawodu? Czy nie interesował się nią ktoś, kto by miał te, tak jej potrzebne, pieniądze, a po prostu pracował na lądzie.

– Owszem – odpowiedziała matka. I tu zaczęła się następna historia ze wspomnień już nie tak odległych, jak lata młodości. To był czas bliski teraźniejszego...

### **Trzech chłopów, a jeden głupszy od drugiego**

Jak chodziłam odbierać węgiel na kolej... Jeszcze mieszkaliśmy wtedy na starym mieszkaniu... To tam był jeden taki dziadek, milioner! On miał parę wozów i ileś tam koni... dużo... i ludzi, co mu tymi końmi rozwozili węgiel do domów, jak ktoś potrzebował. Miał nie tylko te wozy i konie, ale też coś cztery kamienice w samym środku Krakowa. Bogacz okropny! I wdowiec. Całą gębę miał złotych zębów! Ino się świeciło to złoto, ale między tymi zębiskami zawsze bielił się twaróg. Paskudztwo! Plułam, jak na to patrzyłam. To on zwariował, jak mnie zobaczył, i zaraz chce się żenić! Idyjota! Gdzież ja bym szła do ślubu z takimi zębiskami i z takim dziadygą, choćby nie wiem jaki bogaty był!... Żeby on był młodszy o dwadzieścia lat, żeby miał własne, białe zęby i czarne kręcone włosy, i niebieskie piękne oczy, i żeby był wyższy o jakieś pół metra, to bym szła za niego, bo chciałabym dzieciom coś dopomóc. Ale nie z taką ofertą! A on się zakochał i nic tylko zapraszał mnie do kawiarni na ciastka i na kawę. To tyłem z nim siedziałam, com zjadła ciastka i wypila kawę. A potem fuk! Już mnie nie było! Powiedziałam, że nie mam czasu, bo muszę kolację zrobić dla dzieci, albo tam co innego wymyśliłam... Raz nawet, świnią, pocałował mnie! Tom zaraz poleciała do toalety, umoczyłam w wodzie chusteczkę do nosa i długo tarłam to miejsce, bo mnie straszne mdłości brały z obrzydzenia. A on by chciał być moim mężem! Chyba lustro w domu nie miał i nie widział, jak wygląda...

Jak mu się długo nie pokazywałam, to próbował nawet przychodzić do domu, ale go nigdy nie wpuściłam. Zawsze powiedziałam, że dzieci są w domu i nie mogę go wpuścić. A potem to już go poznawałam po krokach i nie odzywałam się, jak pukał. Aż wreszcie dał sobie spokój. Obiecował, że mi wszystko zapisze, cały majątek, żebym tylko szła za niego. Nie byłam



głupia. Ale znalazła się jakaś, całkiem ładna kobietka i młodsza ode mnie o jakie dwadzieścia lat, i ona go chciała. Widywałam ich. Zawsze go bardzo czule wlokła pod rękę. Tego to nigdy nie pojmem! Ja przecież na niego patrzeć nie mogłam.

Na kolei, gdzie się odbierało węgiel, był jeszcze jeden chłop, taki co siedział w budce i odbierał te kartki na węgiel. Tyle tylko miał do roboty, co te kartki odbierać, ale był strasznie ważny, chociaż nie miał więcej wysokości jak trzydzieści centymetrów, a buty to nosił na takich wysokich obcasach: na dwa metry, żeby był wyższy. I nosisko miał takie, jakby mu kto pięścią przygniótł; wcale tych dziurek od nosa nie było widać, takie tylko przypłaszczone szparki miał. No to ja daję mu kiedyś tę asygnatę na węgiel i on tylko popatrzył na mnie i mówi:

– Zdaje się, że się będę rozwodził... Jakby pani była wdowa, to się możemy umówić na randkę w parku, ale nie jutro, bo jutro będę zakładał światła neonowe.

Idyjota! Gdzież ja bym szła z nim na randkę do parku? Musiałabym go chyba pod ławką szukać, bo na ławkę to by przecież nie wlaź!... I jeszcze się puszy, że będzie zakładał światła neonowe, jakby to było nie wiem co! Taki mistrz się znalazł!... Ja nawet się nie odezwałam na te głupoty, co on mówił, a on mi zaznacza, że „tylko nie jutro”, tak jakbym była gotowa zaraz na jutro się z nim umówić!.. Chłopiska są strasznie bezczelne! Byle dziadziśko, jak tylko ma portki, to już sobie wyobraża, że każda na niego polecą. A ja czasem lubię, na wybrzydę, dawać chłopom do zrozumienia, że może co z tego będzie. Ale żeby oni wiedzieli, co ja o nich w duchu myślę??!...

Kiedyś było tak: idę ja sobie na spacer na planty, pomalutku, powdychać powietrze i popatrzeć na ludzi, a tu na ławce siedzi dwóch starych chłopów. Jeden miał koszulę zapiętą na siedem agrafek, bo żadnego guzika nie miał. Bardzo mi się to spodobało i przysiadłam sobie przy nich na ławce. No to chłopiska głupie, myślały, że może mi się spodobałi, i zaraz zaczęły rozmowę. Ten co miał koszulę na agrafki mówi, że od czterech lat już jest wdowcem i że nie ma kto koło niego co zrobić, bo on do babskiej roboty nie przyzwyczajony i od śmierci żony jeszcze nigdy nie zamiatał, tak że gdzie się stanie na podłodze, to noga się odbije w prochu, bo ten proch już jest jak dywan! I że garnków też nie mył i nic nie prał od śmierci żony. To ja się pytam, jak jego żona miała na imię, a on mówi, że Brygida. Więc ja na to: – Coś podobnego??! Ja też mam na imię Brygida! – Chciałam się z niego tak dobrze ponabijać. Jak to usłyszał, to padł przede mną na kolana, tam na tych plantach, ręce składa i mówi: – To już nic, tylko przeznaczenie! Pan Bóg mi panią zesłał! A czy pani jest wolna? – Ja mówię, że owszem i że właśnie szukam męża, ale żeby był podobny do niego. To on zaraz dał temu drugiemu pięć złotych i rozkazał: – Franiu! Skocz do kiosku i kup kwaśnych cukierków! Musimy uczcić to poznanie!

Franiu też patrzył na mnie łakomie, ale on miał babę; jeszcze mu nie umarła, to już nie mógł na mnie liczyć. Więc tamten z agrafkami siedzi ze mną i opowiada, ile to po żonie zostało rzeczy i że da mi to wszystko, tylko martwił się, bo jego żona była grubsza. Ja mówię: – To nic nie szkodzi. Poprzerabia się. Z grubszego zawsze można zrobić cieńsze. – Alem w duchu pękała ze śmiechu, bo ja przecież mam całą szafę pięknych sukien, nawet nie mam ich kiedy wynosić, a ten mi chce dać jakieś łachy po starej babie. No, ale nic. Ciekawa byłam, jak to będzie do końca.

Franiu wrócił z tymi kwaśnymi cukierkami i częstują mnie, więc wzięłam jeden i powiedziałam, że zjem sobie potem, bo dopiero co jadłam śledzia, to by mi nie smakowało. A ja bym przecież nie jadła takich paskudnych cukierczysków, skoro miałam w domu całe szafy czekolad drogich. Ale niech się cieszą... Ten mój amant zapytał, gdzie mieszkam i ja mu po-

dałam całkiem inną ulicę, bo przecież nie przyznam się, żeby jeszcze przyjeźli do mnie. No to w końcu on mówi, że byłoby dobrze, gdybym od razu poszła do niego, mogłabym pranie zrobić, bo tak nie ma w czym chodzić i pościel brudna; nic nie prane od czterech lat. Ja na to, że chętnie, ale muszę się przebrać do tego prania. To on się upiera, że nie trzeba się przebierać, bo mogę ubrać jakąś suknię tej jego nieboszczki. Ale ja się stanowczo nie zgodziłam. Powiedziałam, że nie będę chodzić w za szerokiej sukni, bobym mu się mogła przestać podobać i że zaraz pójdę do domu po swoją suknię. Oni koniecznie chcieli iść ze mną, tak im się śpieszyło z tym praniem, więc im powiedziałam, że to niemożliwe, bo muszę jeszcze wstąpić do jednej baby, która mi jest winna pieniądze, a nie wiadomo, czy ona jest w domu, więc poczekam na nią, aż wróci, i to może trochę potrwać. A jak wezmę pieniądze, to nakupię dobrego jadła i gorzałki, wszystko przyniosę, zjemy i napijemy się razem, a tymczasem niech on idzie do domu i namoczy to wszystko pranie w balii. Przykazałam mu, żeby absolutnie wszystko namoczył, bo ja bardzo lubię prać i lubię, żeby było dużo prania! On się nie mógł nadziwić, stale kręcił głową i uważał, że to prawdziwy cud. Przysiągł mi, bom mu kazała, że to pranie na pewno namoczy...

Polecieli obaj bardzo radzi.

Może to pranie do dzisiaj się moczy? Bo jak poszłam, to najpierw skrzyła w inną ulicę, a potem chyłkiem uciekłam do domu, i więcej się już nigdy w tamte strony nie pokazałam, żeby oni mnie nie przydybali.

Bardzo fajnie się to wszystko stało. Niech sobie sam pierze brudziska! Ja przecież swoje pranie oddaję do praczki, bo gdzie bym miała siłę teraz prać? A taki stary idyjota myślał, że będzie miał praczkę za darmo w domu!

Lubię chłopom płać figle. Każdy chłop jest głupi. Niech się uczą rozumu, skoro go nie mają.

## **Matka widzi więcej niż trzeba**

Nasza mama ma swoją własną filozofię życiową, własną religię i własną moralność. Nie ma mowy o dyskusji i o przekonywaniu matki, że coś wygląda inaczej, niż ona sobie wyobraża. Twierdzi, że nie ma powodu na starość zmieniać swoich przekonań; przeżyła z nimi wszystkie długie lata i skoro dawniej jej wystarczały, to i starczą jej na resztę życia.

Mimo słabego zdrowia i zadyszki upiera się, aby nawet w najgorszą pogodę iść do kościoła, przy czym jest jej obojętne, czy to będzie kościół rzymsko-katolicki czy greckokatolicki; jej zdaniem Pan Bóg jest wszędzie Ten Sam. Modli się szeptem, szybko i poruszając ustami. Pochłonięta w żarliwej modlitwie jest jednak w stanie zauważyć mnóstwo szczegółów wokół siebie. Jeżeli siedzi przed nią w ławce mężczyzna z łysą głową, przesuwając się w inne miejsce, ponieważ nie znosi widoku łysiny. Potem w domu opowiada:

– Że też ktoś nie ma wstydu, żeby z takim gołym kolanem, zamiast głowy, chodzić między ludźmi. Mógłby sobie peruczkę sprawić. Wszystkie świece odbijały mu się w łysinie i ja musiałam na to patrzeć. Chętnie bym mu napluła na tę goliznę!

Jeśli odważymy się zwrócić jej uwagę, że w kościele należy raczej się modlić, niż patrzeć na czyjąś łysinę, zaczyna się złościć.

– Ja dobrze wiem, co należy robić w kościele! Ale łysina była! I ja takiej łysiny nie jestem w stanie ścierpieć! Akurat zachciało mu się przede mnie wepchnąć z tą łysiną! Przecież muszę patrzeć przed siebie, więc cały czas zamiast widoku wszystkich świętych miałam przed oczami łysinę!

Ten fakt można by ewentualnie uznać za chorobliwą awersję do łysych, gdyby inne przykłady również nie świadczyły o zainteresowaniach naszej matki nieco szerszych niż sama tylko modlitwa. Otóż w takie wielkie święta, jak Boże Narodzenie albo Wielkanoc, robimy z siostrą matce przyjemność i idziemy z nią razem do kościoła. Szalenie dumna kroczy wtedy razem z nami; malutka, z zadartym w górę noskiem, rozgląda się na boki, jakby chciała sprawdzić, czy aby wszyscy są dostatecznie świadomi faktu, że oto ona idzie ze swoimi córkami... Podczas ceremoniału wstawania, przyklęknięcia, pochylania głowy, żegnania się krzyżem świętym w odpowiednich ku temu momentach matka obesrwuje nas bacznie, czy aby nie zapomnieliśmy, co kiedy należy robić. Jest zadowolona, że pamiętamy, więc wpatrzona w górę, w najwyższy fragment ołtarza, śle tam szept swoich modlitw. Od czasu do czasu wyciąga z kieszeni jedną z niezliczonych zawsze zgromadzonych tam chusteczek ligninowych i wyciera łzę skapującą spod okularów. W takim momencie wydaje się, że nic nie byłoby w stanie wytrącić jej z transu żarliwej modlitwy, prawdopodobnie o nasze zdrowie, o naszą radość życia i wszelkie pomyślności, tak potrzebne każdemu człowiekowi. Aż tu nagle, nasza zaprzepaszczone w modlitwie matka, delikatnie trąca łokciem siostrę i kątem ust, nie zmieniając jednak natchnionego wyrazu twarzy, szepce: – Przysiadłaś sobie futerko. Popraw, bo się zgniecie!

Patrzę na wściekłą minę siostry, która ze zniecierpliwieniem wyszarpuje futerko spod siedzenia. Mama zapada znowu w trans modlitwy, ale wiem, że za moment ja mogę zostać poczęstowana uwagą, żebym na przykład odsunęła się od tej baby, która siedzi obok mnie, bo baba ma na sobie brudne łachy, czyli z całą pewnością jest w nich jakaś pchła, która może przeskoczyć na mnie.

Kiedy msza wreszcie się kończy, mama jeszcze przesyła w kierunku ukrzyżowanego Chrystusa jakieś wieloznaczące spojrzenie, prawdopodobnie przypomina Mu, aby z całą pewnością miał nas w Swojej opiece. Idąc w kierunku drzwi, jeszcze kilka razy odwraca się, pochyla głowę w ukłonie, robi nieznaczny ruch, jakby przyklękała, czego oczywiście nie może uczynić ze względu na sztywność w kolanach; prawdopodobnie tłumaczy Panu Bogu powód, dla którego nie może uklęknąć i oddać czci Jemu należnej. Wreszcie wychodzimy z kościoła i tu już nasza mama, w charakterze osoby „cywilnej”, nie związanej ze świątynią, zaczyna popisy swojej spostrzegawczości; dowiadujemy się, kto w kościele najładniej i najgłośniej śpiewał, kto fałszował, kto miał paskudny zielony kapelusz do bordowego płaszcza, jakie wstrętne nosisko miała jedna baba, a która znowu była oszpecona trzema brodawkami z kępkami włosów na wierzchu. Nas z siostrą niewiele interesują rozmowy na temat czyichś brodawek z włosami, próbujemy zająć się istotą rzeczy, czyli Bogiem, wiarą, kościołem. Matka włącza się do rozmowy, przy okazji dostaje się nam za to, że tak rzadko chodzimy do kościoła i że ona za wszystkich musi nadrabiać zaniedbania. Puszczamy uwagę mimo uszu i mówimy o tym, że ktoś tam pojechał do Rzymu i z pewnością będzie dybał na okazję, aby zobaczyć papieża. Tu matka przerywa nam i mówi, że ona papieża nie lubi.

– Nie możesz nie lubić papieża – mówi moja siostra do matki. – Jak ty to wszystko gudzisz? Papież jest głową kościoła. Skoro kościół jest ci bliski musisz, uznawać papieża.

Ale przecież nasza matka wszystko wie najlepiej i wie swoje:

– Kościół to jest kościół! W kościele jest Pan Bóg, a papież jest takim samym człowiekiem, jak każdy. Z jakiej racji on się ma robić głową kościoła? I z jakiej racji mówi się o nim Ojciec Święty??! Święci są tylko ci, co już nie żyją i co sobie na świętość zasłużyli. Święci robili cuda, a papież nie robi żadnych cudów. Dla mnie on wcale nie jest święty. Prócz tego chodzi w złotych papuciach i noszą go w złotej lektyce! A ile by za to złoto można nakupić jedzenia dla biednych ludzi?... Gdzieś tam w Indiach i gdzie indziej dzieci umierają z głodu, a on chodzi w złocie! Dla mnie to nie jest żaden święty. Ja bym nawet powiedziała, że to jest bardzo nieładnie.

Nie próbujemy przekonywać naszej przemądrzałej matki. I tak nie dałaby się przekonać.

## Matka musi być potrzebna!

Matka musi być potrzebna. Za wszelką cenę. Inaczej nie widzi powodu, dla którego miała-by jeszcze żyć. Nie przyjmuje takich tłumaczeń, jak: „Masz żyć po to, aby nam sprawiać przyjemność samą swoją obecnością. Masz żyć, odpoczywając. Napracowałaś się przy nas przez całe życie, teraz bądź ozdobą naszego domu”.

Matka zgadza się być ozdobą, bo jest na to wystarczająco próżna, ale nie zgadza się, aby być tylko i wyłącznie ozdobą. Ozdabiając sobą dom, chce jednak być niezastąpiona we wszystkim. Musi mieć świadomość, że dom bez niej upadłby i całkiem zszedł na marne. Kiedy zapewniamy ją, że bezcelowe jest robienie zapasów na zimę w postaci kompotów, soków, powideł i innych zapraw, przymruża tylko ironicznie oczka, macha lekceważąco ręką:

„wiadomo, my się przecież na niczym nie znamy”, i robi swoje. W kuchni piętczą się słoiki, pucowane do połysku, i czekają na wypełnienie jakimiś pysznościami. Chcąc nie chcąc, musimy z siostrą robić wyprawy na rynek, zdobywać maliny, wiśnie, gruszki, śliwy, wszystko w doskonałym gatunku, żeby potem zaprawy nie gniły, musimy zwłóczyć to do domu i patrzeć, jak matka, pół żywa, w upale od rozgrzanych palników kuchenki gazowej, kręci się, mozoli nad wydłubywaniem pestek z wiśni, gotuje syropy, smaży, wekuje, pichci, a pot spływa jej spod misternie napuszonego loczka nad czołem. Co jakiś czas musimy osobiście, palcem dotknąć jej spoconego czoła, żeby zobaczyć, jak to ona się umęczyła. Kiedy już ledwie trzyma się na nogach, każe sobie nalać pół kieliszka koniaku, który ją nie tylko wzmacnia, ale dodaje ducha, i znów pochyla się nad garnkami, aby dać szansę gorącej parze do skroplenia się na jej czole. Jest wykończona pracą, ale dlatego właśnie szczęśliwa. Cóż więc mamy robić? Pozwalamy jej zamęczać się, aby nie odbierać jej radości.

Matka nie może usiedzieć spokojnie. Skoro więc skończy pracę z zaprawami, szuka innego zajęcia. – Na pewno macie wszystko podarte? – rzuca podejrzliwe pytanie, w którym właściwie jest już odpowiedź, że z całą pewnością tak właśnie jest.

Na ogół, to co podarte, przeznaczamy do wyrzucenia, aby jednak nie sprawiać zawodu naszej mamie, dostarczamy jej sterty niepotrzebnych i sfatygowanych części naszej garderoby. Matka załamuje ręce. – Jak można dopuścić do takiego zniszczenia??! Tu brak gumki, tam ramiączko urwane, tu szwy popuszczały... Dziura jak pięść! No! Ładnie byście wyglądały, gdybym się do tego nie zabrała! – I zabiera się. Igła śmiga, czasem trafia w palce obok narpastka; trzeba wyssać ciekącą krew, ale to nic. Naszej mamie nic nie przeszkadza, skoro jej praca może się przydać dzieciom.

Odbywamy z siostrą konspiracyjne narady. – Przecież to zupełne wariactwo! Po co matka męczy swoje chore oczy, naprawiając odzież już do niczego nie przydatną??! Czy powinniśmy na to pozwolić? Oczywiście, że nie. Ale jeżeli nie będzie ślęczeć nad tymi starymi łałkami, które najlepiej byłoby wyrzucić, będzie się jej wydawało, że jest niepotrzebna. Prowadzimy więc grę w: „potrzebna. Bardzo potrzebna. Niezastąpiona!” Nam się wydaje, że tolerujemy zwariowane pomysły naszej matki. Matka wierzy w konieczność działania. Pozwalamy jej nadwerężyć zdrowie, inaczej koniec z jej dobrym samopoczuciem. Wiemy, że nie ma lekarstwa, które by było dobre na wszystko. Nie mamy prawa wybierać komuś drogi do szczęścia według własnego uznania. Niech matka buduje sobie swoje szczęście, tak jak jej się podoba.

## I komu o wszystkim powiedzieć?

Z melancholijną zadumą obserwujemy zmierzch życia naszej matki. Właściwie czym ona jeszcze może się cieszyć? Czy robienie zapraw na zimę i cerowanie starej garderoby może jej wypełnić życie?... Nasze sukcesy... Oczywiście, mogą sprawiać jej radość, ale ona powinna mieć satysfakcję i radość z czegoś osobistego, jej własnego... Tylko co by to mogło być?... Czym można cieszyć się o zmierzchu?...

Dziwne, ale matka potrafi cieszyć się najmniejszym drobiazgiem i to tak głęboką radością, o jakiej nam się nie śniło. Być może ten jej dojrzały, czy przejrzały, wiek dodaje jasności spojrzeniu i mocy przeżywaniu. My ciągle jeszcze z uporem walczymy o swoje miejsce w świecie, matka już o nic nie walczy, tylko podziwia świat albo, w zależności od nastroju, bardzo go nie lubi. Podziwianie zaczyna się od polnych kwiatków. Zdaniem matki, nie ma nic piękniejszego na świecie, jak ukwiecone wiejskie łąki, łąny zboża, lasy i sady. Często siedząc w kuchni na krzeselku i kiwając się swoim zwyczajem, medytuje głośno: – Co by tu zrobić, żeby tak móc własną ręką urwać śliwkę albo gruszkę z drzewa? – Dałabym komu pięć tysięcy za to, żeby mi pozwolił w sadzie narwać sobie troszkę owoców!... I chciałabym jeszcze iść tak przez łąny zboża, ścieżką, środkiem pola i zerwać mak albo bławatek... Jak też ślicznie wyglądają maki w zbożu! A bławatki! A kąkole!... Żeby wiedziała, że w raju rosną zboża z tymi kwiatkami, to bym może chciała się tam prędko wybrać, ale co to można wiedzieć?... Nie wiecie wy, dzieci, jak jest w raju? Są tam kwiatki i sady, i lasy?

Nie mamy pewności, czy w raju są łąny zboża i sady, doradzamy więc naszej matce, aby chwilowo poczekała z tą podróżą, i staramy się o możliwość zbliżenia jej ziemskiego raju z tymi właśnie sadami i zbożami, w których maki się czerwienią, a bławatki niebieszczą; wypraszamy u kogoś z przyjaciół, kto posiada własny samochód, aby poświęcił nam jeden dzień i zabrał na wieś, gdzie matka będzie mogła nacieszyć swoje oczy tymi wszystkimi widokami, o których marzy. Kiedy nadchodzi taki dzień, matka już od rana jest zdenerwowana, a raczej podniecona do tego stopnia, że, jak to ona nazywa, „zatyka ją ze szczętem”, nie może złapać oddechu, wszystko wylatuje jej z rąk, loczki na głowie nie chcą się ułożyć, sukni nie da się wciągnąć, bo całe ciało spocone, okulary gdzieś się zapodziały, jednym słowem „sąd ostateczny”. Wszystkie choroby potęgują się, trzeba natychmiast zażywać lekarstwa, a więc „fajka”, czyli podręczny inhalator, drugi inhalator z kapsułkami, lanatosid, proastmin, witaminy i do tego jeszcze kieliszek koniaku, bo nic nie pomaga. Matka stwierdza, że już z nią koniec i że nigdzie nie pojedzie, ale po wypiciu koniaku szepce do nas konspiracyjnie, że z tych nerwów tak na nią podziałał alkohol, że się aż upiła, wobec czego jest już jej wszystko jedno i zaczyna się czuć lepiej. Można więc przystąpić do sprowadzania jej do samochodu, gdzie jak zwykle mamy trochę atrakcji z wsadzaniem jej do wnętrza wozu, bo uparcie próbuje przy wsiadaniu wsadzić najpierw nogi, a potem głowę (przy wysiadaniu stosuje odwrotną taktykę).

Być może jest to związane z jej przekornym charakterem, czyli robieniem wszystkiego na swój sposób, inaczej niż każdy i inaczej niż nakazuje logika.

Wreszcie jesteśmy na wsi! Skoro już uda nam się jakoś wysupłać matkę z samochodu, reszta staje się samą radością. Matka delikatnie stawia stopy między źdźbłami trawy, wyszukuje miejsca, gdzie piasek nie ma prawa dostać się do jej trzewików (z piaskiem zawsze są tragedie! Nawet jedno ziarenko wyprowadza matkę z równowagi. Gdziekolwiek by to było, jeżeli dostanie się do jej buta, ściąga but i wytrzepuje to jedyne ziarenko). Matka idzie między zbożami, a my za nią, suniemy jak malutka procesja i słuchamy jej wykrzykiwanych zachwytów: – Jakie to słodkie! Takie malutkie, jak najmniejsze żółte oczko ptaszka, takie ledwie przy ziemi, a prześliczne! – Matka pochyla się nad żółtym kwiatkiem, którego my nawet

nie spostrzeżelibyśmy pod stopami. Ostrożnie omija kwiatek, żeby go nie nadebrać. Dotyka kłosów zboża, stwierdza, że będzie urodzaj, rządzi się w tym zbożu, jakby to były łany działka, tam na wsi, gdzie kiedyś były i była ona, i jej młodość.

Po powrocie do domu matka długo jeszcze będzie pamiętała każdy szczegół tego wyjątkowego dnia, który dla nas był jednym z wielu, tyle tylko, że akurat spędzony na wsi. Ale my ciągle jeszcze nie mamy daru przeżywania drobiazgów tak dogłębnie, jak to potrafi robić nasza matka.

Matkę gnębi fakt, że nie będzie miała komu opowiedzieć o tej wycieczce i o tym, co przeżyła. Nam nie może opowiedzieć, bo byliśmy razem z nią i wszystko wiemy. Osoby, które zna, nie wydają jej się godne wysłuchania tej historii: – Oni się nic a nic na czymś takim nie znają – stwierdza. – Trzeba mądrego człowieka, żeby wiedział i zrozumiał, o co chodzi. Jeden jedyny Antoś miałby na ten temat pojęcie, ale kiedy ja tam się z nim znów zobaczę?...

Antoś jest naszym przyjacielem. Jest przyjacielem matki i jej przybranym synem. Antoś jest aktorem, ale pochodzi z gór i jak nikt inny potrafi się z matką dogadać. Mówią swoim góralskim językiem, stosując przy tym pikantne góralskie dowcipy. Kiedy matka zamierza udać się w podróż do siebie, do domu, do Krakowa, jeszcze będąc u mnie, pisze list do Katowic do Antosia, i w liście tym donosi o terminie przyjazdu. Stanowczo musi mu o wszystkim opowiedzieć, bo żadne przeżycie się nie liczy, jeżeli nikt o tym nie wie. Antoś ma obowiązek dowiedzieć się wszystkiego, co przeważnie bywa już lekko przesadzone, jako że czas wystrza przeżycia.

Antoś wsiada w pociąg i przyjeżdża do matki z bukietem najpiękniejszych kwiatów i z „Zośką”. Bukiet jest olbrzymi, a „Zośka” to jest koniak, dla którego matka sama wymyśliła tę nazwę, ponieważ musi wszystko nazwać własnym językiem. Nazwa „Zośka” powstała przez przypadek: w okresie gdy jeszcze mieszkaliśmy zbiorowo, czyli w czterorodzinnym mieszkaniu, w pokoju którego nigdy nie zamykało się na klucz, jako że nikt z nas nie miał zwyczaju strzec skarbów, których nie posiadaliśmy, matka z nieodłączną (ze względu na chorobę serca) butelką koniaku, niepokoiła się, iż pod naszą nieobecność ktoś z sąsiadów może zajrzeć do pokoju i zobaczyć ten koniak. – Gotowi powiedzieć, że jestem pijaczką – mówiła. – Albo jeszcze komuś zechce się łyknąć trochę i dolać mi wody. – Aby temu zapobiec, postanowiła zabezpieczyć butelkę; właśnie miała wyciętą z jakiegoś czasopisma dużą fotografię Zośki Loren z dziećmi na rękę (matka z jakichś powodów szczególnie interesowała się życiem Zośki Loren, chociaż największymi względami zawsze otaczała osobę królowej Anglii, szacha Iranu i Jacqueline Kennedy). Ta fotografia okazała się doskonałym zabezpieczeniem. Mogła za nią ukryć nie tylko butelkę, ale nawet kieliszek, i tak stała na stole uśmiechnięta na zdjęciu Zośka Loren oparta o butelkę z koniakiem. Od tej pory koniak otrzymał nazwę „Zośka”, co było bardzo przydatne, bo można było mówić: – Oj! Coś mi się „Zośka” kończy – i nikt nie wiedział, o co chodzi. Takich konspiracyjnych nazw matka miała więcej, na przykład: małe zapasy pieniędzy nazywały się „żelazo”, a to z tego powodu, że był to „żelazny kapitał” na złe czasy, którego w żadnym wypadku nie wolno było ruszać. Zdrobniale mówiło się czasem o „żelazie”: „żelazko”. Moja siostra, której fantazja często nie nadążała za fantazją matki, kiedyś na wzmiankę w liście, że matka posyła nam „żelazko”, zapytała ze zdziwieniem: – Po co matka posyła żelazko? Przecież mamy dwa żelazka i to z termostatem?...

Inne szyfrowane nazwy, to: „żółta woda”, czyli ajerkoniak, „portomija”, co w języku innych ludzi tłumaczyłoby się: portmonetka, „kuśle”, czyli brzydkie nogi... Zresztą nie sposób wymienić wszystkich nazw, ponieważ powstają one bez przerwy i pomnażają się.

Antoś pokochał ten niezwykły język matki tak samo, jak ją samą pokochał. Mogliby godzinami mówić ze sobą i nigdy by im się nie znudziło. Wszystko co działo się w życiu Antosia, czyli Jantosia, albo Jantosicka, było dla matki bliskie i zrozumiałe, zwłaszcza jeżeli Antoś mówił o swoich rodzinnych stronach. Matce wówczas wydawało się, że wszystko dokładnie widzi, bo przecież jej góry i Antosia góry były takie same i ludzie w nich podobni

Gdy Antoś przyjeżdżał do matki, w umówiony sposób dzwonił do drzwi, matka podchodziła na palcach, przykładła ucho do szparki i pytała szeptem:

– Kto tam?

– Adyć bandyta! Czysty zbój! Otwórzcie ino, matulu, a sami na własne oczy zobaczycie!

Matka przekręcała klucz w zamku i już miała Antosia na kolanach przed sobą, z wyciągniętymi rękami: w jednej była „Zośka”, a w drugiej bukiet kwiatów, zasłaniający go do pół ciała. Antoś, wcisnąwszy matce w ręce koniak i kwiaty, obejmował jej nogi i najpierw, w progu jeszcze, wygłaszał długą powitalną przemowę:

– Matulu moja najmilejsza! Ściskam ja wasze święte nożeta, które oby was jak najdłużej po tym świecie prowadziły, na pociechę moją i waszych wspaniałych dzieci, którym żeby Pan Bóg raczył użyzyć długiego zdrowia, żeby mogły się jeszcze ze dwieście lat przynajmniej cieszyć jedną z najcudowniejszych matek! Bądźcie mi pochwaleni w tym wspaniałym dniu, w którym to mogłem dostąpić tego wielkiego szczęścia i radości, abym was we własnej osobie ujrzeć mógł i wyrazić moją cześć i uszanowanie! Bierzcie tę oto „Zośkę” i te kwiatki: marne to powitanie, bo nie takie wam się należy! Radbym wam kupić całe niebo i może jeszcze co więcej, ale że akurat jest przed pierwszym, to mnie ani na niebo, ani na inne wystawne prezenty nie stać.

Matka przyciskała do piersi kwiaty, „Zośkę” i Antosia. Równocześnie robiła zawstydzone i na przemian oburzone miny:

– Ady, Jantosiu! Jakżeś ty mógł tak się na mnie wykosztować??! Do śmierci się nie wypłacę, chociaż jeszcze będę żyła, z pomocą boską, ze trzysta lat, a nie, jak mówiłeś, dwieście. Dwieście to dla mnie za mało, bom mało jeszcze na świecie użyła. Jeszcze bym chciała kiedy tą rakieta na księżyc pojechać!

– Pojedziecie matulu, pewnikiem! I to razem ze mną! Bo ja się sam boję takich dalekich podróży i nudno by mi było, a z matulą to chociaż będzie o czym gadać w tej rakiecie!

Sąsiedzi zza drzwi przysłuchiwali się tym rozmowom, stwierdzając z niezadowoleniem, że niektórzy ludzie całkiem rozumu nie mają i nawet się przywitać po ludzku nie potrafią, tylko po wariacku.

Antoś sunął na kolanach za matką przez cały długi przedpokój, dopiero kiedy znalazł się w pokoju, pozwolił się wziąć pod ramiona i wstawał z klęczek. I znów zaczynało się obłapianie, całowanie i powitanie od nowa.

Przyjaźń matki z Antosiem trwała już ponad dwadzieścia lat. Poznanie ich było niezwykle, jak zresztą wszystko, co dotyczy naszej matki: właśnie robiła sobie inhalację domowym sposobem, czyli trzymała głowę nad garnkiem z wywarem rumianku, i cała głowa razem z garnkiem była przykryta ręcznikami. W tym właśnie momencie Antoś złożył nam wizytę. Inhalacja dopiero się zaczęła i nie można jej było przerywać (aby wywar nie ostygł), wobec czego przedstawiłam matce Antosia w sytuacji: garnek, ręczniki i mocno przytłumiony głos spod ręczników:

– Bardzo przepraszam, ale nie mogę chwilowo ujawnić swojej twarzy. Nic na to nie poradzę, że zamiast od przodu, musi mnie pan od tyłu poznać.

Antoś przykląkł na obydwie kolana i w ręce matki, otaczające garnek, wcisnął różę o niezwykłym, prawie czarnym kolorze.

– Nie frasujcie się, panisko – powiedział z góralska. – Ja już niejedno w życiu widział, to mnie taka rzecz nie dziwi. Pozwólcie tylko, że wam wyrażę, w skromnych słowach, moje najwyższe uszanowanie i zachwyt, że wam poznać raczył, a że w tak niespodziewanych okolicznościach, to jeszcze i lepiej bo długo o tym pamiętać będę, może i dłużej niż do samej śmierci, która oby jak najpóźniej mnie łapnąć raczyła.

Głos matki znów wydostał się poprzez ręczniki: – Ady to jakiś Góral? A tyś mi mówiła, że artysta! – To był wyrzut skierowany do mnie.

– Jaki ja tam artysta??! Góral jestem, ino że mi akurat jakaś droga z mojej wsi z drogą do teatru się skrzyżowała... Diabły tę drogę nocą wybudowały czy anioły, nie wiadomo... To się jeszcze okaże w życiu. Opętało mnie cosik, oczarowało, kiedy jakie boginki, co ludzi nocami podle mokradeł wodzą. Ugrzałem w teatrze, nie ma co mówić. Ugrzałem na dobre! A co gorsze jeszcze, to że kochanie do tego teatru mnie naszło i nijak się od niego uwolnić nie mogę. Wy ta dobrze wiecie, co to jest kochanie, to będziecie rozumieli.

Matka nie tylko to rozumiała, ale od tej pory rozumiała się z Antosiem lepiej niż ktokolwiek. A tę niezwykłą czarną różę zasuszyła, ale najpierw poszła z nią do fotografa i kazała sobie zrobić z nią zdjęcie w trzech ujęciach...

Potem ilekroć Antoś do nas przychodził, przynosił taką czarną różę. Matka suszyła róże i składała. Może kiedyś nie byłoby miejsca w domu, gdzie by nie znalazły się zasuszone czarne róże, gdyby nie i wyjazd Antosia do innego miasta. W mieście tym nie było ogrodnika, który by hodował czarne róże. Róże dla naszej matki.

## Codzienna warta przy oknie

Od pewnego czasu matka codziennie trzyma wartę przy oknie; chodzi o trudny problem wróbli i szpaków. Do balustradki, czegoś co zastępuje balkon, jest umocowany karmnik dla ptaków. Został przeznaczony na codzienne posiłki dla wróbli. Nagle skądś, nie wiadomo skąd, pojawiło się spore stado szpaków. Piękne są, czarne z białymi kropkami pod brzuszkiem i na skrzydłach, mają kształt wrzeciona, są wesołe i wojownicze. Bezceremonialnie zajęły karmnik wróbli i szarospaczą się tak jak u siebie. Matka uważa, że to niesprawiedliwe; wróble mają pierwszeństwo, a w każdym razie mają równe prawa jak szpaki, tymczasem wróble tylko z daleka obserwują, jak szpaki urządają sobie uczty w ich karmniku. Matka próbuje zaprowadzić porządek w systemie jedzenia: raz mają jeść wróble, a drugi raz znów szpaki. Kiedy szpaki podjedzą, przepędza je i zaprasza wróble. Na ogół większą część czasu spędza na walce ze szpakami; już pokazanie się jednego wróbla jest sygnałem dla szpaków, aby mu dać dobry wycisk i przepędzić z karmnika. Matka medytuje, jakby tu zrobić, żeby każdy ptak miał równe szanse... Marzy o własnym mieszkaniu z prawdziwym balkonem (a nie wykuszem), gdzie mogłaby postawić dwa karmniki: jeden dla szpaków, drugi dla wróbli. Doradzam jej, aby od razu zamówiła tabliczki z napisami; „Szpaki” i „Wróble”, inaczej znów mogą zaistnieć nieporozumienia.

W zimie problem ptaków narasta – dochodzą mewy. Trudno jest karmić mewy, kiedy nie ma się prawdziwego balkonu. Mewa nie może wejść do karmnika i nie potrafi zatrzymać się w locie, aby przysiąść na parapecie okna. Oczywiście istnieje system „rzucania pokarmu”, ale wówczas większa część spada w dół, gdzie już mewy boją się podejść. Matka naradza się ze mną, w jaki sposób można by powiększyć parapet, aby także mewy miały szansę skorzystania z ptasiej stołówki... Jedynie gołębie zostały pozbawione wszelkich praw do bezpłatnych posiłków przez ich nieznośny sposób bycia; od wczesnego rana skrobały pazurkami po blaszanym parapecie, przez co budziły nas o wiele wcześniej, niż to było w naszych zamierzeniach, prócz tego zdeptały i zadziobały listki wschodzącej fasoli, zasadzonej w skrzynce na kwiaty. Tego już było za wiele! Po prostu wydarłyśmy z serca litość dla bezdomnych gołębi i przepędzałyśmy je tak długo, aż się wreszcie obraziły i zniechęciły do odwiedzania naszego okna.



Trzymając wartość przy ptakach, matka równocześnie śledzi bacznie postępy prac wokół nowego ośrodka zdrowia, który jest umiejscowiony naprzeciw Klubu Seniora. Ma to swoje uzasadnienie, bowiem klub stał się właśnie czymś bardzo osobistym w życiu naszej matki. Do tej pory, jeżeli utrzymywała z kimś znajomość i kontakty, to tylko z naszymi przyjaciółmi. Obecnie ma własnych przyjaciół!

Droga do klubu jest zawałona rumowiskiem z powodu prac przy ośrodku zdrowia. Towarzyskiemu życiu naszej matki grozi zagłada, jeżeli prace nie zostaną wkrótce ukończone; nie sposób przejść do klubu po stercie cegieł i worków cementu. Ktoś, kto kiedyś uprawiał wspinaczkę, nie miałby może i w późniejszym wieku z tym kłopotu. Nasza matka nie tylko nie uprawiała wspinaczki, ale do tego wszystkiego jeszcze ma chore nogi. Szaleje przy oknie, zachęca nie słyszających jej słów robotników, aby się pośpieszyli z pracą. Może oni jednak to słyszą, bo przynajmniej olbrzymi dół został wreszcie zakopany, i chociaż z trudem, ale już można obejść dookoła i dostać się bezpiecznie do małego domku, w którym mieści się klub. W tym klubie nasza zmierzchowa mama wraca do minionych lat młodości. Z lekkim niepokojem myślę o chwili, w której przyjdzie jej szalony pomysł do głowy, aby na zamglonej szybie okna klubu napisać: „Janku kochany”... Wnioskując z jej opowieści o klubie, można się wszystkiego spodziewać...

### **Sto lat dla pani Juleczki!!!**

– Ja wam tylko tyle powiem, moje dzieci, że niczego nie żałuję; minęło co było dawne, nie chce mi się wracać do umarłych rzeczy. Było, przeszło, a teraz jest całkiem inaczej i nie powiem, że jest źle. Żeby nie ta zadyszka, to bym wcale nie wiedziała, że mam jakieś lata... Jestem młodsza, niż kiedy goniłam na wsi boso po rosie! Wtedy byłam głupia. I nie rozumiałam wszystkiego tak dobrze jak teraz. Teraz to ja się naprawdę potrafię cieszyć! I mam z czego! Że też jakiś mądry człowiek wymyślił te kluby seniora... Ale to tylko tutaj. W Krakowie o żadnym klubie nie słyszałam. Tam są same dziady krakowskie. Może i mają jaki klub, ale w żadnym wypadku nie może być taki, jak ten tutaj! Jakże to przyjemnie przyjść sobie do takiego małego domku, usiąść przy herbatce i ciastkach, a dokoła miłe twarze i każdy chętny do rozmowy, nawet jak człowiekowi nie chce się mówić, to tak zagadają, że ani się obejrzy, jak też rozprawiać zaczyna. A ten pan Janek, co wszystkiemu przewodzi, to się chyba urodził specjalnie na ten cel. Jak on potrafi do każdego dowcipnie przemówić! Nikogo nie ominie. Dla wszystkich ma jakieś słowa. A te miny co przy tym robi!... Żaden artysta w teatrze by tak nie potrafił. I oczkiem mrugnie i okręci się, i coraz to którąś z nas cmoknie w policzek! Coś podobnego żeby było, to się wierzyć nie chce... Ja już zapomniałam, jak taniec wygląda, chociaż tanecznicą ze mnie była pierwsza... Ze trzydzieści lat nie tańczyłam i nie pomyślałam, że mi jeszcze kiedyś tańczyć przyjdzie, no bo przy mojej astmie, to ani myśleć o tym, a ten mnie do tańca prosi i inni za nim, ale broń Boże, żeby wywijali jak jakie wariaty! Delikatnie, po-malutku, bo wiedzą, że jestem chora na to astmisko i sercysko. Taki taniec, to proszę bardzo! Zawsze jeszcze mogę sobie pohulać! A jak oni mi zrobili kiedyś imieniny, to mi się aż popłakała, chociaż mi wstyd było, ale nie mogłam się utrzymać. No bo nagle pan Janek wstaje i mówi: „Mamy tu na sali Juleczkę. Dzisiaj są jej imieniny. Poproszę orkiestrę o odegranie: sto lat! Ale tak na całą parę!” Wszyscy wstali i śpiewali, a orkiestra rżnęła aż huczało!... Za dawnych czasów, jak były moje imieniny, to się ta prosiło muzykantów, bo codziennie się włóczyli po podwórkach i grali, więc się prosiło ich do mieszkania, dało im się parę groszy i po kieliszku, odegrali co trzeba i poszli. Ale to co w klubie było, to niesłychane! Prawdziwa orkiestra, narodu cała kupa i wszyscy śpiewali! No i potem pan Janek poprosił mnie do tańca i

ten wysoki, co mi się podoba... Ale może ma jakąś babę... Za przystojny jest, żeby mu dały spokój... Ale nie mówmy o tym, nie o to się rozchodzi, tylko tak w ogóle... Przeogromnie mili ludzie w tym klubie. Nie taki podły naród, jak w Krakowie. Tam nawet nie miałam do kogo gęby otworzyć, a tutaj z każdym mogę sobie porozmawiać. Wszystko eleganckie i grzeczne. Co ja miałam za towarzystwo w Krakowie? Tylko te Goliki: Zośka z matką i Stefcysko podłe i fałszywe i Głuchy z Głuchą. Jedna Tosia była w porządku, ale ona miała swoje sprawy na głowie. Człowiek myślał, że już tak skapieje do końca. Czy ja kiedy słyszałam o jakim Świącie Kobiet? Chyba tylko od was. Chociaż złości mnie, że takie święto jest wymyślone, bo to nie ma żadnego sensu, ale muszę powiedzieć, że tu mi się spodobało. Bo się zrobiła z tego wielka uroczystość i zabawa. Dzieci w szkole wyrysowały takie różne laurki i każda z nas dostała, i kwiaty, i bombonierki, a do tego jeszcze poszło się za darmo do kina... Jaki ten film był piękny! Do końca życia nie zapomnę! Chociaż ktoś tam ze sali w środku filmu wyszedł, jak się ci młodzi całkiem goli przewalali w łóżku, ale czym tu się oburzać? Przecież każdy wie, jak kto goły wygląda. Oni pewnie zapomnieli, jak byli młodzi i goli leżeli w łóżku. Mnie tam to nie jest dziwne, ale ludzie są rozmaici. Po filmie były jeszcze występy i całe wielkie przyjęcie: kawa, herbata i jakie pyszne ciasta! Te panie z klubu same to piekły w domu u siebie i przyniosły. Nie mogę się nigdy doczekać środy, żeby iść do klubu. Co dzień bym tam goniła! Szkoda tylko, że sobie więcej sukienek nie przywiozła, bo bym chciała za każdym razem inaczej się ubrać. Jak teraz pojedę do Krakowa, to przywiozę wszystko! I tak przecież muszę tu kiedyś na stałe zamieszkać. Nigdzie nie chcę być, tylko tutaj, bo nigdzie nie ma takiego klubu... Najgorsze tylko te włosiska. Zawsze się namęczę, zanim je ułożę. Nie pójdę przecież do klubu rozkudłana i byle jak. Tam wszystkie panie są eleganckie... A jak ta jedna, co kiedyś była śpiewaczką, pięknie i głośno wyciąga najcieńsze nuty! Ona zawsze śpiewa i to solo! Wszystkie piosenki potrafi wyśpiewać. Pani Broncia też ma ładny głos i zna wszystkie przedwojenne melodie. Dobrze, że się poznałam z Broncią! To dusza człowiek! Chociaż raz mam prawdziwą przyjaciółkę. Pani Broncia trochę się jeszcze wstydzi, bo ją nie tak dawno namówiła, żeby się zapisała do klubu, więc jeszcze tak nie jest obznajmiona ze wszystkimi, jak ja. Dla mnie ten klub to już jest bardziej niż własny dom. Jak bym nawet miała własny dom, taki tylko dla siebie, to bym i tak w nim była sama jak palec, a w klubie mam pełno najmilszego narodu. Trochę mi żal, że nie mogę z nimi wszystkimi jeździć na wycieczki, no ale nie można mieć wszystkiego naraz. Oni mają lepsze zdrowie, chociaż są i starsze panie ode mnie, ale nie mają tej choroby z dusznością, więc mogą jeździć na wycieczki i na zwiedzanie. Ja bym przecież nie wyszła na żadną ich wieżę w jakimś zamku w Malborku, czy gdzie indziej. Na grzyby też pojechać nie mogę, bo wczesnym rano jest dla mnie najbardziej zabójcze powietrze, a potem oni będą biegać po lesie za grzybami, a ja bym musiała na miejscu koło autobusu sterczeć. Broncia to by dała radę, ale ona jest jeszcze bardzo młoda, nie to co ja. Broncia to mój istny skarb! Taka delikatna i opiekuńcza... Zawsze mnie prowadzi pod rękę, bo na tych wiatrzyskach co tutaj wieją, to bym nieraz nie doszła do klubu. Kiedyś musiałam się wrócić, tak mnie zatkało. Mało mi serce nie pękło z żalu: tam się ludzie bawili, a ja tylko patrzyłam na nasz domek z daleka i musiałam się wrócić, bo wiatr targał mną we wszystkie strony i zatykał oddech. A jak się uczepię u ramienia Bronci, to mi się lepiej idzie. Pomału, ale się zawsze dowlokę. Nie ma dla mnie większej przykrości, niż opuścić spotkanie w klubie. Niech też Pan Bóg da zdrowie i długie życie temu, co te kluby wymyślił!...

## Nasza matka znów jest młoda!

Obecnie życie naszej matki to środy – dni spotkań w klubie. Już od poniedziałku zaczyna się „nerwicówka”, czyli przygotowywanie się do spotkania: jaka suknia? Jakie buty? I najważniejsze, co z głową?... Co miesiąc organizujemy wyprawę do fryzjera. Fryzjer musi być pierwszorzędny i do tego jeszcze uprzejmy, bo matka chamstwa nie znosi. Trzeba było trochę czasu poświęcić na wyszukanie takiego fryzjera. Na szczęście znalazł się, tyle że w innym mieście, bo na osiedlu są aroganckie i niesympatyczne fryzjerki, więc matka nawet słyszeć o nich nie chce. Organizujemy wyprawę; zamawia się taksówkę, odstawia matkę pod opiekę fryzjera, potem kiedy już wyjdzie po kilku godzinach spod „beczki” do suszenia włosów, już ufarbowana, tylko w oczekiwaniu na uczesanie, dzwoni do domu, że można ją odebrać. Więc znów bierze się taksówkę i jedzie po matkę, która z tym swoim dumnie zadartym noskiem każe się oglądać i podziwiać, jak to pięknie została uczesana. Fryzura niezbyt długo wytrzymuje. W pierwszym dniu po uczesaniu matka śpi prawie na siedząco, żeby nie zniszczyć uczesania potrzebnego na tę jej środę, potem już przestaje walczyć z nikczemnymi loczkami, które mają swoje fochy i układają się tak, jak im się podoba. Przed następną środą kręci się na noc włosy na klipsach, na klipsy daje się siatkę, a na siatkę jeszcze cieniutką chusteczkę, bo matka jest straszną elegantką i nawet w łóżku, kiedy jej nikt prócz nas nie widzi, nie chce brzydko wyglądać. W chusteczce jest jej ładnie i nie widać sterczących klipsów. Całe przedpołudnie chodzi jeszcze w tym „wstępie” do pysznej fryzury, dopiero na dwie godziny przed wyjściem z domu zaczyna samotną walkę o piękne uczesanie. Trzymamy w pogotowiu koniak, bo jest nieprawdopodobnie zdenerwowana i oczywiście natychmiast ją „zatyka”. Przed samym wyjściem jeszcze wdycha swoją astmową „fajkę”, dzwoni do drzwi pani Broni i razem z nią maszeruje tam, gdzie czeka ją kilka godzin cotygodniowej młodości.

Matki astmowa „fajka” i inne leki są tak samo jak klub z pogranicza cudu. Nie może się nigdy nadziwić: – Jakie też to czasy nastały, że człowieka całkiem za darmo leczą i to dobrze leczą! Przecież jakby nie te wszystkie leki, to by mnie już dawno na świecie nie było!... Biedne moje matczysko i ojczysko... Jeszcze by może mogli żyć, gdyby w tamtych czasach było jakie leczenie. Ojciec umarł, bo mu nogi stale puchły i myślał, że tak musi być. Umarł na te nogi. Właściwie nic mu innego nie dolegało, tylko nogi były coraz grubsze. A mama na astmę. Teraz jakby sobie wpuściła do płuc moją „fajeczkę”, to by jej pomogło, tak jak mnie. Wtedy choćby nawet kto się chciał leczyć, nic z tego nie było. Trzeba by mieć worek złota! A teraz idzie się za darmo do przychodni, a jakie grzeczne i miłe te panie doktorki!... Przyszłam kiedyś strasznie zadyszana do pani doktor od zębów, to ona widzi, co ze mną jest, więc zaraz kazała mi usiąść i odpocząć, okno otworzyła, a taka delikatna i dobra, jak sam anioł! Nadziwić się nie mogę, co to się porobiło? Całkiem się ludzie pozmieniali i cały świat. Toteż i pożyć dłużej można.

I nasza matka żyje. Żyje od nowa, w nowych czasach. Żyje dosyć intensywnie, jak na jej zmierzchowy wiek i zdrowie.

Zdarzyło się kiedyś, w dniu spotkania w klubie, że wróciłam do domu późnym wieczorem, około godziny dwudziestej drugiej, czyli w porze kiedy matka zawsze była już w domu. Wszłam w mrok mieszkania i w absolutną ciszę. Myślałam, że matka zdrzemnęła się, czekając na mnie, pokrzykuję więc radosne słowa powitania, na które nie ma żadnej odpowiedzi. Popalałam światła, w popłochu rozejrzałam się po domu; matki ani śladu! „Rany boskie! Musiało się stać coś strasznego!” – pomyślałam przerażona. „Jeżeli matka zaśląbla w klubie, to jest nadzieja, że ktoś postarał się o pomoc dla niej, ale jeżeli w drodze??!” Wybiegłam z domu, żeby jej szukać. W ciągu niewielu minut znalazłam się przed domkiem, który był jeszcze oświetlony. Była to niejaka pociecha. Czułam pot ze strachu na twarzy. Ręce mi drżały, kiedy

chwyciłam za klamkę drzwi. Za tymi pierwszymi drzwiami był korytarzyk, a z niego prowadziły drugie drzwi do pomieszczenia klubu. Kiedy pierwsze drzwi zostały otwarte, natychmiast dał się słyszeć z oddalenia dźwięk akordeonu i śpiewy. W tych śpiewach dominował głos naszej matki!...

– Rany boskie! Co ty wyprawiasz??! – wchodząc powiedziałam zamiast powitania.

Nasza matka śpiewała i tańczyła walczyka.

– Nie widzisz? Bawię się! – odpowiedziała matka, nie przerywając tańca. Potem zwróciła się do obecnych: – Wiedziałam, że dziecko tu przyjdzie po mnie. Mówiłam wam o tym... Zobacz, jaka twoja mama jest zdrowa i młoda! – Zaśmiała się do mnie spoza pleców swojego partnera.

Usiadłam na podsunętym mi przez kogoś krześle i próbowałam przyjść do siebie po przeżytych niedawno strachu: „nasza matka o godzinie dwudziestej drugiej szaleje w klubie, kiedy ja szaleję z niepokoju o nią!” – Spojrzałam z naganą w kierunku matki.

– I o co właściwie chodzi? – Pan Janek odezwał się karcącym głosem, do czego natychmiast przyłączyli się wszyscy pozostali. – Niech pani nie myśli, że tylko pani wolno się bawić i używać życia! My też chcemy jeszcze pożyć! Musimy wykorzystać każdą najmniejszą chwilę! Dla was jesteśmy starymi gratami, które już nic więcej nie potrafią, tylko zawadzać!

– Nie o to chodzi! – próbowałam, tłumaczyć. – Matka przecież ma chore serce... I te tańce.... A jak ona będzie wracać do domu, przy takim wietrze?...

– Nic się nie martw, koteńku – powiedziała matka, wykonując właśnie półobrót w walcu – świetnie się czuję! Dawno tak dobrze się nie czułam, jak dzisiaj! A wytańczyłam się za wszystkie tamte stracone lata! Chyba już pięćdziesiąt lat minęło od czasu, kiedy się tyle natańczyłam co dzisiaj. Ale nawet wtedy, chociaż byłam młoda, zabawa tak mi do gustu nie przypadła, jak ta teraz! Nic tylko żyć i nie umierać!

Wracałyśmy do domu chłodną, wietrzną nocą. Na skróty. Poprzez piach i rumowiska. Matka, której zawsze sprawiało trudność podnoszenie stóp wyżej niż na kilka centymetrów, prawie że podskakiwała. Ostrzegałam ją, żeby uważała na piasek, bo wiadomo, jak ona nie lubi, kiedy choć ziarnko wpadnie jej do buta...

– Piasek??! – zawołała z radością matka i kopnęła butem w kopczyk piasku. – Ja przepadam za piaskiem! Niech się sypie, jak chce! W domu go wytrząsnę z butów. Dziwię się, że chce ci się mówić o takich głupstwach, jak odrobina piasku. Piasek... Wiatr... Zimno... Co mnie to wszystko obchodzi, kiedy mi jest tak wesoło! Ja znowu jestem młoda! Ale czy ty to możesz zrozumieć?... Wątpię.

No i co człowiek może wiedzieć o własnej matce?... Nic. A wydawało mi się, iż znam ją tak dobrze, że mogłabym książkę o niej napisać...